



OPOWIADANIA KRYMINALNE

SŁUCHACZE
NAUCZYCIELE
SJPDC UŁ

Spis treści

DARIA NAVITSKAYA, Wyjątkowa	4
RUNFAN ZHANG, Morderstwo w Wigilię	11
VALERIJA SHESTAKOVA, Manekiny	16
ALLA ZUBOVICH, Dom z widokiem na rzekę	21
SOFYA HRYNKO, Igła	26
KATSIARYNA KARABAN, Ogród Hesperyd	36
KAROLINA AMANOVA, Sataniczny rytuał	42
DOROTA MICHALSKA-HEJDUK, Plener fotograficzny	51
JOANNA KAŹMIERCZAK, Gniew	59

Opowiadania słuchaczy

Daria Navitskaya

Wyjątkowa

Często nazywają mnie „wyjątkową”. Najwyraźniej dziś też zdechnę w wyjątkowy sposób. Pytanie zresztą całkiem zasadne: czy naprawdę jestem wyjątkowa?

Zimno. Zbyt zimno. Niepokojący sygnał. Oznacza to, że utrata krwi jest już na tyle duża, że finał nie jest daleko. Objętość krwi krążącej spadła, ciśnienie również, a ciało próbuje przetrwać – naczyń się zwężają, kierując krew wyłącznie do narządów życiowo ważnych. Świadomość też „odpływa” falami.

Kiedy mnie znajdą, zostaną przewieziona na oddział ratunkowy. Będą próbowali mnie reanimować, jeśli jeszcze będę wykazywać oznaki życia. A gdy ustalą godzinę zgonu, mój trup zostanie przewieziony do prosektorium w piwnicy – służbową windą, po prawej stronie od izby przyjęć.

Zapytacie, skąd to wszystko wiem? Otóż jestem patomorfologiem w tym właśnie szpitalu. Do końca specjalizacji brakowało mi pół roku. Trochę to nawet boli.

Tak czy inaczej, lubię nasze prosektorium. Jest tam cicho. Niko-

go nie ma. Cisza i spokój. Zwykle na dyżurze jesteśmy we dwoje, ponieważ formalnie nie ponoszę jeszcze pełnej odpowiedzialności za sekcje aż do zdania egzaminu po rezydenturze. Ale kogo to obchodzi? Na pewno nie Szymona – mojego „mentora”, który z powodzeniem zrzuca na mnie większość swojej pracy. Na początku mnie to wkurzało, później po prostu się przyzwyczaiłam (przez cztery i pół roku można przywyknąć do wielu rzeczy). Kiedyś pocieszałam się tym, że to doświadczenie. A potem nawet jako polubiłam swoją „zawodową samotność”.

Generalnie dobrze odnoszę się do swojej pracy. W końcu nikt tu nie przeszkadza w myśleniu. A żywi ludzie często mnie irytują. Zrozumiałam to jeszcze na praktykach.

Dlatego kolejny raz, przyjeżdżając do pracy w środku nocy z powodu jakiegoś pilnego trupa, nie czuję się pokrzywdzona. Nie. Spokojnie przyjmuję „ciało”, włączam muzykę i zaczynam sekcję. Skoro wezwali – śmierć była gwałtowna, więc będzie z tym trochę roboty. Włączam Sinatrę. Och, Frank, dziękuję, że sprawiasz, iż atmosfera nie jest aż tak złowieszcza. Nie lubię gwałtownych zgonów, zwłaszcza gdy chodzi o młode dziewczyny. Niby nie pierwszy dzień tu jestem, a jednak bez muzyki nie potrafię przeprowadzać ich sekcji.

Kiedy szłam na studia medyczne – i nawet na pierwszych latach – zostanie patomorfologiem nie było w moich planach. Ale potem... pochowałam mamę i dalsze podążanie dawną drogą, by zostać lekarzem intensywnej terapii, przestało mieć sens. Jej śmierć była nagła i otrzeźwiająca. Mój naiwny, różowy balonik pękł w jednej chwili. Była moim promykiem optymizmu na tym świecie. Za każdym razem, gdy się spotykałyśmy lub rozmawiałyśmy przez telefon, ładowałam się pozytywną energią na kilka godzin. Taka była. A potem wypadek. Szybka śmierć na miejscu. Przy takim zderzeniu – bez szans.

Po śmierci ojca byłyśmy dla siebie oparciem. Choć jego odejście było przewidywalne i logiczne przy tych przerzutach, i tak wszystko było przytłaczające. Nawet nie wiem, której z nas było wtedy gorzej – mnie, piętnastolatce, nie do końca rozumiejącej ciężar tej straty czy jej, która straciła ukochanego człowieka, naj-

lepszego przyjaciela i partnera. Efekt jednak był nieoczekiwany. Nie przeżywałyśmy żaloby w klasyczny sposób – zamiast tego rozmawiałyśmy o tym, jak będziemy żyć bez niego, i snułyśmy plany na przyszłość.

Tak właśnie ukształtowało się moje pragnienie, by zostać lekarzem. Dziś rozumiem, jak statystycznie banalne to było. Ludzie tak często wiążą swoje życie z medycyną, gdy ktoś w rodzinie poważnie chorował. Więc o żadnej „wyjątkowości” nie ma tu mowy. Standardowa, przeciętna historia.

A sprawca wypadku lekkim ruchem ręki wpływowego tatusia nagle z „pijanego” kierowcy – co gwarantowało mu dwanaście lat więzienia jako okoliczność obciążającą – zamienił się w trzeźwego i dostał pół roku w zawieszeniu. Sprawiedliwość? Nie istnieje. Chyba już od dawna. Niestety, przykro mi rozczarowywać: karmy nie ma, zapłaty też nie ma. Jest tylko to, co sami budujemy – reputacja, układy, pieniądze. Tylko to się liczy.

I przychodzi moment, w którym umierasz nie fizycznie, lecz duszą, bo nie ma już wiary. W nic. Ani w sumienie, ani w sprawiedliwość. Wszystko ma po prostu swoją cenę. Tak więc moralnie od dawna już nie żyję.

Ciepła dłoń dotyka mojej tętnicy szyjnej. Sprawdzają mi puls?
– Hej, słyszysz mnie?

Och. To do mnie. Tylko jakoś to wszystko dziwne. Inaczej wyobrażałam sobie życie po śmierci.

– Kobieta z raną penetrującą w okolicy wątroby.

I tu, kolego, się mylisz. Odpowiedzi i tak nie słyszę. Ale jedno staje się jasne: cholera, to na pewno nie jest życie po śmierci. Jakże byłoby prościej, gdyby to był koniec. A teraz trzeba będzie przeżyć, dochodzić do siebie. I nie wiadomo, co będzie z moim układem pokarmowym. Jedno mogę powiedzieć na pewno – o normalnym, smacznym jedzeniu mogę zapomnieć na długo. Moja ulubiona włoska knajpka na rogu koło domu, ta indyjska spelunka z ich boskim kuskusem i oczywiście gruzińska chinkalnia niedaleko szpitala – będę tęsknić.

Na razie jednak ten facet niesie mnie gdzieś na rękach. Odważny. Ja bym samej siebie nie podnosiła – w końcu nie jestem piór-

kiem. Widocznie czas oczekiwania na karetkę nie był zadowalający. A to najwyraźniej czas, którego ja nie mam. Jedziemy krótko. Otwieram oczy, gdy czuję różnicę między ciepłem samochodu a chłodem ulicy. Dokąd jedziemy – ustaliliśmy już wcześniej, więc bez niespodzianek. Znajome, już niemal rodzinne ściany, tylko inne wejście. Kładą mnie na nosze. Ciekawe, nowe czy stare? Swoją drogą, stare podobają mi się bardziej. Ale nie mam siły otworzyć oczu i sprawdzić. Zresztą coś mi podpowiada, że zaraz całkiem stracę kontakt z rzeczywistością. Słyszę głosy, ale nie potrafię ich rozpoznać – zwykle mam do czynienia z sanitariuszami. A to są lekarze. Poza tym na izbie przyjęć jest duża rotacja, bo niewiele osób chce tu pracować, więc mogę nawet nie rozpoznać tych głosów. Tak czy inaczej, to już bez znaczenia. Odpywam.

Dźwięki szpitala. I mnóstwo ludzi, którzy gapią się na mnie, jakbym była jakąś cholerną małą. Czyli przeżyłam? Ciekawe, jak długo próbowali zrozumieć, co jest nie tak ze zdjęciami przed operacją? No cóż – anomalia.

Ach tak, moja anomalia. Jeszcze wam nie wyjaśniłam. Wrodzona całkowita transpozycja narządów. Situs inversus totalis, jeśli chcecie. Za tymi mądrymi słowami kryje się po prostu lustrzane ułożenie organów. U większości serce jest po lewej stronie – u mnie po prawej. U większości wątroba jest po prawej – u mnie po lewej. I tak dalej. Widocznie to mnie dziś uratowało. Zabawne, że dowiedziałam się o tym dopiero w wieku osiemnastu lat, podczas rutynowych badań, bo na co dzień absolutnie się to nie objawiało. Biedak na USG długo nie mógł zrozumieć, dlaczego widzi nie te narządy, które powinien. Wezwał kolegę, potem kolejną osobę – w końcu obejrzała mnie połowa oddziału. To było dziwne. Żyjesz sobie, żyjesz, niczego nie podejrzewasz, a potem bach! – okazuje się, że przez cały czas żyłaś z anomalią, która występuje raz na dwadzieścia tysięcy przypadków. A potem bach! – i ona ratuje ci życie.

– Pani Heleno, proszę opowiedzieć dokładniej, co się wydarzyło? – To policja przyszła mnie przesłuchać.

– Wracałam z pracy, często chodzę pieszo... i nie zrozumiałam, co się stało. Nagle poczułam ostry ból w szyi, a potem falami za-

częła mnie zalewać słabość. Nie mogłam ustać na nogach, upadłam, próbowałam się zwinąć. Ktoś obrócił mnie na plecy i przeciągnął po ziemi w bardziej ustronne miejsce. Wtedy mogłam mu się przyjrzeć. Sympatyczny mężczyzna, na oko jakieś trzydzieści pięć lat, wysportowana sylwetka, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, ciemne włosy, taki jakby leniwy przechył głowy. Puste oczy, jakby mnie w ogóle nie widział. Ubrania po domu i buty miejskie. Czy on mieszka w pobliżu? Pochylił się, dotknął mojego policzka i powiedział: „No co ty? Nie trzeba było go denerwować. Zaraz poczujesz się lepiej”. Nie rozumiałam, o czym mówi... A potem nagle wbił we mnie nóż. Widział, że mnie boli, ale raczej to obserwował – jakby nie chodziło o człowieka, tylko o zwierzę. On jest psychicznie chory... Wszystko wydarzyło się w ciągu kilku minut. Wstał, powiedział: „Odpoczywaj”, odwrócił się i odszedł. Po prostu odszedł. A ja przez cały ten czas nie mogłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku – nie wiem, czy winna była iniekcja, czy strach.

Potem zadawali jeszcze wiele pytań – na niektóre potrafiłam odpowiedzieć, na inne nie.

– Były też inne ofiary. Im nie udało się przeżyć. Pani jest wyjątkowa. Jeśli coś sobie pani przypomni, proszę zadzwonić pod ten numer. – Położyli mi wizytówkę na szafce nocnej.

Do szpitala przychodzili do mnie przyjaciele, nawet były partner wpadł z wizytą. Wielu interesowało, dlaczego jestem taka spokojna, dlaczego opowiadam o tym tak beznamiętnie, dlaczego nie bałam się śmierci. Odpowiadałam:

– Po prostu nie rozumiałam, co się dzieje. Mój układ nerwowy, spośród opcji „walcz – uciekaj – zastygnij”, wybrał „zastygnij”. A kiedy wszystko się skończyło, zrozumiałam, że nie ma już czego się bać – teraz po prostu umrę. Jak pisał Epikur: „Dopóki istniejemy, nie ma śmierci; gdy przychodzi śmierć, nie ma już nas”.

Świadomość tego, co w ogóle mi się przydarzyło, zaczęła pojawiać się dopiero teraz. Dopiero teraz zaczynało być strasznie. Przerażali mnie lekarze wchodzący do sali na obchód, gwałtowne ruchy i dźwięki.

Mój stan dawał o sobie znać – nie potrafiłam myśleć trzeźwo.

Coś ciągle mi umykało. Często zapadałam w sen. Najwyraźniej mój mózg wciąż próbował mnie chronić. Śnił mi się Tony Montana i Harry Potter – a właściwie ich twarze. I coś tu się nie zgadzało. Moja podświadomość próbowała mi coś powiedzieć. Tylko co?

A potem do mnie dotarło. Na szafce nocnej wciąż leżała wizytówka. Chwyciłam telefon i wykręciłam numer.

– Miał bliznę. Bliznę na twarzy, ledwo widoczną – od brwi do kości policzkowej.

Kilka dni później przynieśli mi zdjęcia do identyfikacji. Był wśród nich. Nie wiem, jak go znaleźli – to nie była moja praca. Kiedy go zobaczyłam, ciało automatycznie zeszywniało.

Właśnie przenieśli mnie na salę ogólną, gdy z telewizora, który oglądali wszyscy w pokoju, dobiegł komunikat: „Dziś zatrzymano mężczyznę podejrzanego o zabójstwo sześciu kobiet oraz jedną próbę zabójstwa. Podchodził do ofiar w słabo oświetlonych miejscach, wstrzykiwał środek paraliżujący i zadawał cios nożem w okolicę wątroby, po czym zostawiał je, by zmarły z powodu wstrząsu krwotocznego”.

To był długi proces, ale dostał dożywocie. Inteligentny mężczyzna z dobrą pracą i trudnym dzieciństwem. Porywczy, leworęczny ojciec często bił go w wątrobę, a matka nic z tym nie robiła – tylko usprawiedliwiała i powtarzała: „Odpoczywaj”. Zmarła osiem miesięcy wcześniej, co stało się wyzwalczem. Wtedy zaczął zabijać, bo nie mógł już skrzywdzić jej. Zwykły facet – takich widuje się w mieście codziennie. A jednak seryjny morderca. A ilu jeszcze takich tam jest?

Po wypisie zalecono mi psychoterapię. Tam po raz pierwszy mówiłam z kimś o stratach: siebie samej, wiary w ludzi, rodziców, poczucia bezpieczeństwa, chęci życia. Nie od razu potrafiłam mówić szczerze – potrzebowałam czasu. To było trudne i bolesne psychicznie. Ale ostatecznie terapia pomogła. Polecam.

Zdziwicie się, ale już nie pracuję w prosektorium, chociaż wtedy zdałam egzamin specjalizacyjny, teraz jestem w Lekarzach bez Granic. Najpierw pojechałam jako pielęgniarka, a dopiero później wróciłam do domu i przesłam przekwalifikowanie, więc nie jestem już patomorfologiem. A właściwie – nie tylko patomorfolo-

giem. Jestem też lekarzem intensywnej terapii. Tutaj czuję się bardziej potrzebna. Przynajmniej na razie.

A kiedy wrócę z misji, planuję wziąć psa – białego samojeda. Zrozumiałam, że od dawna tego chciałam, tylko z jakiegoś powodu ciągle sobie odmawiałam.

Zabawne, że żeby zacząć żyć, trzeba było prawie umrzeć.

Runfan Zhang

Morderstwo w Wigilię

I

Frank Miller zmarł przy wigilijnym stole.

Polędwica Wellington wciąż parowała, a obok niej leżały starannie ułożone szparagi posypane solą i pieprzem. Jego osobisty kryształowy kieliszek – ten z wygrawerowanym na spodzie herbem rodzowym – był pusty, leżał z boku, a na jego brzegu widniała jedynie ciemnoczerwona plama alkoholu. Obok stała na wpół opróżniona szklanka whisky.

Emma uklękła i sprawdziła leżącą obok butelkę z naparstnicą. Przesunęła palcami po szyi ojca, a następnie otworzyła mu powieki, żeby się upewnić. Trzydzieści sekund później cofnęła rękę:

– On nie żyje...

Przy stole stały trzy osoby: ich matka, Helen Miller, która wielokrotnie wycierała ręce w fartuch, najwyraźniej zbyt przerażona, by cokolwiek powiedzieć. Ich brat, Luke, wpatrywał się w pustą szklankę, jakby próbował przez nią przejrzeć. Emma wstała. Jej

wieloletnie doświadczenie medyczne najwyraźniej uczyniło ją obojętną na życie i śmierć.

Za oknem wyła zamieć, śnieg zasypywał drogi. W salonie bezgłośnie migotały lampki na choince.

II

- Mamo, co teraz zrobimy? - Głos Emmy był pewny jak skalpel, jakby wcale nie zadawała pytania.

- Policja nie przyjedzie w taką pogodę. Śnieg pada zbyt intensywnie. Helen znowu nerwowo wygładziła pognieciony fartuch.

Luke nagle podniósł wzrok, jakby nie mógł już tego znieść:

- Miałem go dość! Zasłużył na to! - Oczy nabiegły mu krwią. - Rozwalił mi fortepian, zrujnował moje kontrakty, a teraz jeszcze chce zniszczyć moją ostatnią robotę w barze, bo się „wstydzi”!

Z trudem łapał oddech. - Jak on może być ojcem?! Wiesz, że ma na mnie haki. Ten wypadek z jazdą po pijaku.

- Luke! - przerwała Helen drżącym głosem. - Przestań!

- To był tylko zawal serca. Nie ma potrzeby dzwonić po policję - powiedziała spokojnie Emma.

Helen i Luke spojrzeli ze zdziwieniem na Emmę, ich usta drżały.

W tym momencie zrozumieli. Wszyscy byli tacy sami.

W pomieszczeniu zrobiło się cicho.

Drewno w kominku trzaskało.

Ciało zmarłego leżało na stole w jadalni. Nikt nie stanął w obro- nie nieżyjącego mężczyzny.

III

16.00 w kuchni.

Helen wyciągnęła z kieszeni fartucha małą, papierową saszetkę z tabletkami nasennymi, które rozkruszyła na proszek. Przez chwilę jej ręce drżały, kiedy otwierała szafkę. Gdy wyjęła kryształowe szkło, zwilżyła palce i ostrożnie nasypała proszek na wglę- bienie na dnie. Jej dłonie były pewne, tak pewne, że sprawiała wrażenie naturalnej i opanowanej, nie jakby go truła, a raczej jak-

by czyściła zwykły kielich komunijny.

Nikt zaś w rodzinie nie wiedział, ile odmrożeń i skaleczeń Helen miała na palcach.

- Chcę tylko, żeby się przespał - mruknęła do pustego szkła - a kiedy zaśnie, nie będzie przeklinał...

17.00 - w gabinecie.

Luke wślizgnął się do środka gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Z kieszeni kurtki wyciągnął małą szklaną buteleczkę z bezbarwnym płynem kupionym na czarnym rynku za ostatnie oszczędności. Otworzył szufladę biurka ojca, z której wyjął cenną butelkę whisky Macallan, ostrożnie ją odkorkował i wlał do niej trzy krople tajemniczego płynu.

- Zamknij się na zawsze - powiedział, a łzy napłynęły mu do oczu. - Idź do diabła...

18.00 - w salonie.

Emma wyjęła białą butelkę z jednej z szafek w salonie. Na etykiecie widniał odręczny napis: „Witaminy”. W środku znajdowały się tabletki naparstnicy, których dawka została precyzyjnie obliczona - idealnie między dawkami terapeutycznymi a toksycznymi. Podeszła do przedpokoju, otworzyła kieszeń płaszcza ojca i schowała z powrotem apteczkę, którą zawsze nosił przy sobie.

Dziewczyna przypomniała sobie początek miesiąca, kiedy ojciec zawołał ją z salonu, a na jego ustach pojawił się półuśmiech: „Emma, pięćdziesiąt tysięcy w przyszłym miesiącu, a nie powiem szpitalowi o niepowodzeniu operacji, dobrze?”.

Po prostu skinęła wtedy głową, jak za każdym razem przez ostatnie trzy lata.

- Nie będzie już szantażu - powiedziała głosem zimnym jak lód. - Nigdy więcej.

IV

Emma podeszła do ciała i uniosła kryształowy kieliszek. Unosząc go do światła, zobaczyła prawie niewidoczny biały osad na dnie.

- Grzane wino jest mocne, cynamon i skórka pomarańczowa maskują większość goryczy - powiedziała.

Helen opadła na krzesło, wiedząc, że nie ukryje tego przed córką, która studiowała medycynę. Zakryła twarz dłońmi i cicho płakała.

Dziewczyna odstawiła kieliszek z winem i zwróciła się do Luke'a:

- Whisky pachnie cudownie, nie sposób wyczuć coś złego.

Twarz Luke'a zbladła.

- Nawet przy codziennym przyjmowaniu leków pacjenci kardiologiczni nie dożywają setki.

Nie dokończyła myśli. Nie musiała kończyć.

V

Luke nagle się roześmiał, jego głos ochrypl:

- Wszyscy jesteśmy mordercami... - pomyślał.

Helen milczała, tylko jej ramiona drżały gwałtownie. Obie z córką miały już dość obelg, przemocy Franka i chorego kontrolowania innych. Dopóki nikt się nie odezwie. Ten człowiek, już i tak długo dręczony chorobą serca, mógł po prostu umrzeć na zawał.

Emma podeszła nagle do ojca. Sięgnęła dłonią do kieszeni jego garnituru - gest, który ćwiczyła w myślach niezliczoną ilość razy - po klucze, portfel i kontrolę, jaką dawały.

Wyciągnęła złożoną kartkę papieru.

Odręczne pismo pana domu, długopis głęboko wbity w papier:

Wiedziałem, że wszyscy to zrobicie.

Gdyby nawet nie Wy, to i tak nie żyłbym dłużej niż miesiąc. Rak trzustki w zaawansowanym stadium. Nawet morfina nie uśmierzy bólu.

Od dziś będziecie się wzajemnie podejrzewać. Będziecie budzić się w środku nocy z przerażeniem. Będziecie myśleć o tym stole w każdą Wigilię.

Więzy krwi nie łączą ludzi, ale wspólne grzechy tak.

Wesołych Świąt.

- Na to zastępuję ja i na to zastągujecie Wy.

Napisane przez Franka Millera 24 grudnia o godzinie 15.00 - cztery godziny przed kolacją.

VI

Nikt się nie odezwał. Kominek dogasał, żar trzaskał cicho. Helen powoli wstała. Podeszła do stołu i zaczęła zbierać talerze. Połowica Wellington, szparagi, zimny sos – układała je jeden po drugim. Potem wzięła kryształowy kieliszek i spojrzała na niego na tle jaśniejącego świtu za oknem. Herb rodzinny na dnie kieliszka błyszczał słabo w porannym świetle. Odkręciła kran. Ciepła woda wlała się do kieliszka, usuwając resztki czerwonego wina, niewidoczny proszek, odciski palców, ostatnie ślady kontrolującej natury tyrana. Wreszcie szklanka była czysta, jak nowa. Delikatnie odłożyła ją do szafki.

Luke wpatrywał się w swoje dłonie i nagle powiedział:

– Ja... tak naprawdę nie chciałem, żeby umarł. Chciałem tylko, żeby... zamknął się na jeden dzień... Chociaż jeden dzień.

Emma podeszła do okna. Śnieg przestał padać, a ziemię pokryła gruba warstwa bieli. W oddali rozległ się nagle dźwięk dzwónów kościelnych, niski i powolny.

Pamiętała swój pierwszy wykład na studiach medycznych, kiedy profesor powiedział: „Najważniejszą umiejętnością lekarza nie jest leczenie, ale osąd”. Źle oceniła sytuację. Wszyscy się mylili.

W salonie lampki choinkowe automatycznie zgasły; był już biały dzień. Siedzieli we troje w stopniowo jaśniejącym porannym świetle, na zawsze połączeni czymś mroczniejszym niż więzy krwi i cięższym niż nienawiść.

W kuchni na półce stały czyste szklanki, po których brzegach powoli spływały krople wody.

Jak lzy.

Jak lód, który w końcu topnieje.

Valeriia Shestakova

Manekiny

Pewnego razu w latach dziewięćdziesiątych, zupełnie niespodziewanie zaczęły zniknąć dzieci, a dokładniej dziewczynki. Na początku dwie rodziny zgłosiły na komisariat policji zaginięcie dwojga dzieci, a po miesiącu policja miała już dwadzieścia zgłoszeń o dzieciach, które zniknęły bez śladu. Każda rodzina opowiadała, że ich dziecko, jak zawsze, wyszło bawić się na plac zabaw, ale pewnego dnia nie wróciło do domu. Policja nie mogła tego zignorować, dlatego otwarto sprawę kryminalną i do pracy zabrały się wszystkie służby. Do śledztwa bezpośrednio dołączyli także Harry i Mike – dwaj najlepsi przyjaciele, którzy od najmłodszych lat uwielbiali historie detektywistyczne. Właśnie dlatego mieli wspólne marzenie, aby w przyszłości razem pracować jako policjanci. Kiedy dostali nową sprawę, postanowili najpierw sprawdzić place zabaw, na których bawiły się zaginione dziewczynki. Przeszukując ostatnie miejsce, Harry powiedział do Mike’a:

– Sprawdziliśmy je wszystkie, ale nie znaleźliśmy żadnej wskazówki, gdzie mogły zniknąć. Zaraz zacznę wierzyć, że porwali je

kosmici.

Po tych słowach Mike zamyślił się i zaczął patrzeć gdzieś w górę.

- Proszę cię, tylko nie mów, że będziesz ich szukać w niebie. To nie czas na żarty - odpowiedział Harry.

- Nie, patrzę na coś innego. Widzisz ten wysoki budynek?

- Tak, ale po co jest nam potrzebny?

- To budynek, w którym ma siedzibę firma tego znanego projektanta.

Harry od razu zrozumiał, o czym mówił kolega. Rok temu pojawił się mężczyzna, który wywrócił cały świat mody do góry nogami. Edison Deli potrafił zamienić zwykłe ubrania w prawdziwe dzieła sztuki, od których nikt nie mógł odwrócić wzroku. Gdy tylko coś nowego trafiało do sprzedaży, ludzie szybko ustawiali się w kolejkach, aby mieć w swojej garderobie ubrania od Edisona Deli. Niedawno zaczął on także projektować stroje dla małych dziewczynek, dlatego teraz córki zawracały głowę rodzicom, by kupili im najnowsze sukienki.

- Dobrze, rozumiem, o co chodzi, ale nadal nie wiem, do czego zmierzasz - odpowiedział Harry z niezrozumieniem.

- Patrzę na najwyższe okno w tym budynku i myślę, że z tego okna dobrze widać ten plac zabaw - wyjaśnił Mike.

- Myślisz, że Edison Deli mógł widzieć ofiary podczas porwania?

- Mam taką nadzieję. Odwiedzimy go osobiście i zapytamy.

Po tym mężczyźni poszli prosto do budynku Edisona Deli. Po pięciu minutach byli już na miejscu i czekała na nich niespodzianka. Przed wejściem był ogromny tłum liczący około stu osób, a może nawet więcej. Dwaj przyjaciele postanowili podejść i zapytać kogoś, co się dzieje. Mike przywitał się z dziewczyną, która miała niewiele więcej niż dwadzieścia pięć lat i bardzo starała się przedostać przez ten chaos, ale niestety nadal pozostawała z tyłu.

- Przepraszam panią, czy mogłaby pani powiedzieć, co się tu dzieje i dlaczego jest tu tak dużo ludzi? - zapytał Mike i lekko się uśmiechnął.

Dziewczyna od razu się odwróciła. Choć na początku przestra-

szyla się, widząc mężczyzn w policyjnych mundurach, szybko się opanowała i odpowiedziała:

- To jedyna szansa, żeby dostać autograf Edisona Deli na najnowszym magazynie promującym jego nową kolekcję. Nikt nie chce stracić takiej okazji, dlatego ludzi jest więcej niż zwykle.

Mike podziękował dziewczynie i wrócił do Harry'ego z pytaniem:

- I jak mamy przejść przez ten cały tłum? Nawet gdybyśmy umieli latać, boję się, że ktoś odgryzłby mi nogę za to, że próbuję przepchnąć się bez kolejki.

- Jako policjanci mamy pierwszeństwo. Oto nasz plan: ty pójdziesz pierwszy, bo jesteś wyższy ode mnie i będziesz trzymał ręce przed sobą, żeby zrobić przejście. Z kolei ja będę krzyczał, że jesteśmy tu w sprawie kryminalnej i mamy pytania do projektanta.

Mike skinął głową, dając Harry'emu znać, że jest gotowy, i razem przystąpili do realizacji swojego planu. Gdy tylko ludzie słyszeli słowa „sprawa kryminalna”, od razu robili przejście, jakby bali się, że jeśli tego nie zrobią, sami staną się jej częścią. Po kilku minutach udało im się dotrzeć aż do samych drzwi i na własne oczy zobaczyli Edisona Deli, który podpisywał czyjś magazyn. Mężczyzna od razu ich zauważył, szybko oddał magazyn i podszedł do policjantów.

- Dzień dobry, panowie! Co panów tu sprowadziło? Czy panowie również są fanami moich dzieł? - zapytał projektant ze szczerym zdziwieniem.

- Niestety, do świata wysokiej mody jest nam daleko, ale jesteśmy tu z innego powodu. Mamy bardzo ważną sprawę i chcielibyśmy zadać panu kilka pytań - wyjaśnił Harry.

Edison Deli od razu spoważniał, ale zgodził się odpowiedzieć na wszystko. Powiedział tłumowi, że wróci za pięć minut. Choć ludzie z niezadowoleniem westchnęli, nie mogli zrobić nic innego, jak tylko poczekać. Mężczyźni weszli do budynku i przeszli kawałek, aż zobaczyli fotel i kanapę. Mike i Harry usiedli na kanapie, a projektant naprzeciwko, na fotelu. Odpowiadał na wszystkie pytania coraz bardziej rozczarowanych policjantów słowami „nie” albo „nie wiem”, czasem dodając zdanie: „Jestem bardzo za-

jętym człowiekiem i nie mam czasu, żeby po prostu patrzeć przez okno”. Gdy zrozumieli, że nie dowiedzieli się niczego nowego, zaczęli już wstawać, ale w ostatniej chwili projektant powiedział:

- Kiedy panowie zapytali mnie o okno, coś sobie przypomniałem. W moim budynku pracuje wielu ochroniarzy i są oni podzieleni na dwie grupy. Jedna jest zawsze gotowa pomóc, jeśli ludzie na zewnątrz zaczną wariować, a druga odpoczywa na drugim piętrze. Właśnie ta grupa często przebywa na najwyższym piętrze. Piją kawę, rozmawiają i gapią się w okno. Proszę zapytać - być może pomogą panom lepiej niż ja.

Mężczyźni od razu się ucieszyli, mając nadzieję, że w końcu otrzymają przydatne informacje. Następnie Edison Deli wrócił do ludzi, aby dalej rozdawać swoje autografy. Policjanci ruszyli w kierunku, który wskazał im twórca, a po minucie Harry zatrzymał się w miejscu i odwrócił głowę w prawo.

- Co się stało? - zapytał Mike.

- Powiedział nam, że mamy skrócić w lewo, żeby znaleźć windę, ale tam, na końcu korytarza, jest winda, która jest bliżej nas. Dlaczego kazał nam iść akurat do tamtej? - odpowiedział Harry z podejrzeniem.

- Czy ty nie widzisz taśmy z napisem: „Nie działa”?

- A jak winda tak naprawdę działa, ale jest specjalnie oznaczona, żeby inni ludzie nie mogli tam wejść, bo prowadzi tam, gdzie innym nie wolno? Tak jak w tych historiach, które czytaliśmy, będąc dziećmi - powiedział Harry z uśmiechem.

- To była wymyślona historia dla małych dzieci. Teraz mamy ważną sprawę, w której być może życie dzieci jest zagrożone!

W jego głosie słychać było niepokój, trochę złości i żadnej radości przy wspomnieniu dzieciństwa.

- Dobrze, masz rację, ale nie zaszkodzi przynajmniej sprawdzić? I od razu po tym pójdziemy do ochrony!

Mike westchnął i burknął, że teraz nie czas wspominać dziecięce historie. Ale i tak skierował się do windy z taśmą. Gdy tylko podeszli, Harry nacisnął przycisk wywołania windy. Winda nie wydała żadnego dźwięku. Mike od razu poszedł w stronę działającej windy:

- Widzisz, miałem rację.

Jednak intuicja kolegi podpowiedziała mu nacisnąć przycisk jeszcze raz, choć nie wiedział dlaczego. Po drugim naciśnięciu przycisku usłyszał, że winda rusza. Gdy dotarła, a drzwi się otworzyły, rozerwał taśmę na pół. Mike od razu obrócił się i nie mógł uwierzyć własnym oczom, że jego przyjaciel miał rację. Nie zdążyli wymienić słów, gdy usłyszeli, że Edison Deli wraca do budynku. Refleks Mike'a natychmiast zadziałał. Jednym ruchem wepchnął Harry'ego do windy, a sam wszedł, naciskając losowy przycisk, mając nadzieję, że drzwi zamkną się szybciej, niż projektant zauważy. Nie zdążyli dojść do siebie z szoku, a winda zaczęła gwałtownie jechać w dół. Kiedy zatrzymała się i drzwi się otworzyły, oboje pomyśleli, że są w piwnicy. Pierwszy otrząsnął się Mike.

- Uciekajmy stąd! Idziemy do tego projektanta - mam do niego ogromną masę pytań - powiedział Mike, zaciskając zęby.

- Nie musisz długo szukać, tuż za twoimi plecami są drzwi z napisem „Wyjście” - odpowiedział Harry i od razu ruszył w ich stronę.

Mike poszedł za nim. Kiedy Harry otworzył drzwi, obaj zaniemówili. To, co uważali za „Wyjście”, okazało się pokojem i to bardzo nietypowym. Był całkowicie wypełniony ciałami małych dziewczynek w najpiękniejszych strojach. Dziewczynki powieszono na stojakach i wykluto im oczy. Gdy tylko zobaczyli twarze tych dzieci, od razu pojęli, że są to zaginione dziewczynki, a okropny smród w pokoju uświadomił im, że od kilku dni są martwe. Tego samego dnia Edison Deli został aresztowany za zabójstwo dzieci. Podczas przesłuchania ustalono, że wręczał dzieciom zaproszenia na tajny casting dla modelek, a w notatkach było napisane, aby nie mówiły o tym rodzicom. Kiedy dzieci trafiały do piwnicy, biegły do drzwi, myśląc, że to wyjście, które okazywało się dla nich pułapką.

Tak właśnie fani dziecięcych detektywów Mike i Harry zamknęli sprawę kryminalną, którą nazwano „Manekiny”.

Alla Zubovich

Dom z widokiem na rzekę

- Dziecięca pamięć często utrwała nie samo zdarzenie, lecz emocję. Strach. Grozę. Poczucie zagrożenia. Dopiero potem mózg łączy wszystko z odpowiednią postacią.

- A jeśli ta postać zostanie wybrana błędnie?

- Wtedy człowiek przez całe życie walczy nie z oprawcą, lecz z obrazem.

Wychodząc od psychiatry, Adam od razu odnalazł właściwy dom, choć od dawna do niego nie wracał. Przypominał sobie stary fronton jeszcze nieodrestaurowanego budynku, doskonale pamiętając chłód tego miejsca. Ten szczególny chłód, który unosi się od betonu i osiada na kolanach. Tego wrażenia nie da się pomylić z żadnym innym. W dzieciństwie ojciec przywiózł go tu nocą i powiedział:

- Poczekaj tutaj. Zaraz wrócę.

Adam czekał w piwnicy. Liczył krople kapiące z rury. Potem usłyszał głosy, krzyk, głuchy cios i... ciszę. Dwa dni później ojca znaleziono martwego. Nieszczęśliwy wypadek. Upadek. Alkohol

we krwi. Sprawę zamknięto.

Adam dorastał w przekonaniu, że tamtej nocy coś widział, ale nie potrafił sobie przypomnieć, co dokładnie. Pamięć zachowywała się jak woda: omijała ostre krawędzie. Idąc w stronę rzeki, z przerażeniem wspominał wszystkie wydarzenia z ostatnich dwóch miesięcy. „A co, jeśli tak naprawdę walczyłem tylko z obrazem i nadal to robię?” – pomyślał.

Klinika w tym domu należała do Macieja Naruszewskiego. Adam znalazł to nazwisko w archiwach. To właśnie pan Naruszewski podpisał akt zgonu jego ojca. Rok temu Adam zatrudnił się tam jako administrator, by dokładnie przyjrzeć się życiu tego człowieka. Na szczęście pan Naruszewski go nie rozpoznał i nie zorientował się, że jest obserwowany. We wtorki właściciel zostawał do późna, kamery w piwnicy nie działały, a korytarz techniczny prowadził wprost do rzeki. Wszystko mogło się ułożyć idealnie.

Adam pamiętał, jak przekonywał samego siebie, że to zemsta. Ale czasem łapał się na innej myśli: po prostu chce zobaczyć twarz człowieka, który wie więcej ode mnie.

We wtorkowy wieczór Adam wszedł z teczką do gabinetu.

- Przepraszam, czy mogę na chwilę?

Pan Naruszewski podniósł wzrok i zdjął okulary.

- Jeżeli w sprawach służbowych - proszę zostawić na biurku.

- Czy pamięta pan Andrzeja Kamińskiego?

- Nie - odpowiedział po długiej pauzie.

- Ten człowiek zmarł tutaj w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

To pan podpisał dokumenty.

Maciej Naruszewski wstał i drżącym głosem zapytał:

- Czy jest pan świadom tego, co pan teraz robi?

- Tak.

- Dobrze, zejdźmy na dół, tutaj mogą nas usłyszeć.

W piwnicy pachniało wilgocią, a Adam poczuł dziwny spokój - tak jakby jego ciało знаło to miejsce lepiej niż znał je jego umysł.

- To pan go zabił?

- Nie - natychmiast odpowiedział Naruszewski.

- Więc kto?

Adam wyjął z kieszeni pistolet, ale Naruszewski się nie przestraszył. Tak jakby był na to przygotowany, powoli usiadł na skrzyni i podniósł ręce.

- Śledczy. Mateusz Pawlak. Udusił go. Tutaj. Widziałem to.

Adam poczuł się nieswojo. „Pan Pawlak! Człowiek, który prowadził sprawę i któremu tak ufałem. Jak mógł? Do tego jeszcze był znajomym mojego ojca” – te myśli nie dawały mu spokoju.

- Dlaczego pan milczał? – zapytał Adam szorstko.

- Powiedziano mi, że prawda to luksus. A ja byłem zbyt młody, żeby umrzeć pięknie.

Adam zamilkł i nagle spojrzął na zegarek.

- Rozumie pan, że zamierzałem pana zabić?

- Rozumiem, że wciąż nie zdecydował pan, po co pan tu przyszedł – odpowiedział chytrze pan Naruszewski.

Nazajutrz Maciej Naruszewski zniknął. Następnego dnia jego ciało znaleziono w rzece. Wtedy Adam zrozumiał, że ktoś próbował go zrobić, jednak brak śladów walki budził pewne wątpliwości. Ironicznie, że śledztwo poprowadził pan Mateusz Pawlak.

- Jest pan ostatnią osobą, która widziała pana Macieja Naruszewskiego – zwrócił się do Adama. - Według rodziny jego stan był niestabilny. Proszę wybaczyć, ale czy pana zdaniem mógł popełnić samobójstwo?

- Nie wiem, ale nie wyglądał na kogoś, kto boi się śmierci.

Mateusz lekko się uśmiechnął i powiedział:

- Ludzie rzadko wyglądają tak, jak się tego spodziewamy.

Dwa tygodnie później odnaleziono starą, nieużytą w ewidencji kasetę wideo. Widać na niej, jak Andrzej Kamiński kłóci się z Mateuszem Pawlakiem, jak Pawlak go popycha i jak Maciej Naruszewski próbuje interweniować. A na dole stoi chłopiec. Tym chłopcem jest Adam. I nagle sobie przypomniał. Oczywiście nie wszystko – ale wystarczająco, by zrozumieć: w rzeczywistości widział wtedy morderstwo, lecz z upływem czasu zupełnie o nim zapomniał.

Po aresztowaniu Pawlaka, Adama przygotowywano do procesu za zabójstwo Macieja Naruszewskiego. Przypomniał sobie też, jak niespodziewanie przyszedł list bez adresu zwrotnego:

Gdybym pozostał przy życiu, nie uwierzyłby mi pan.

Gdybym naprawdę umarł, prawda znów by zniknęła.

Czasem najlepszym sposobem na ujawnienie zbrodni jest udawanie, że było się jej częścią.

Następnie wyszło na jaw, że w płucach Naruszewskiego prawie nie było wody. Czy biegły pomylił się przypadkowo, czy celowo – nie wiadomo. Adama zwolniono. Doskonale pamiętał to uczucie, gdy po wyjściu na wolność spodziewał się ulgi, a zamiast niej przyszło zagubienie. Kiedy oficjalne fakty zaczynały układać się w spójną całość, coraz mniej wiarygodne stawały się własne wspomnienia. Czasem był pewien, że widział, jak Pawlak zabija ojca, innym razem widział tylko sylwetkę, gwałtowny ruch, słyszał dźwięk. A czasem pojawiała się myśl, od której chciało się odwrócić: „A co, jeśli nic nie widziałem, a reszta to efekt opowieści, protokołów, cudzych słów, które stopniowo zastąpiły pamięć?”. Wciąż wracał myślami do piwnicy. Lampa. Krople. Zimny beton. Jednak za każdym razem szczegóły trochę się różniły. Raz ojciec krzyczał, raz milczał. Raz Naruszewski był tuż obok, innym razem – trochę dalej lub całkowicie w stronie. Pamięć bezpośrednio nie kłamała. Po prostu za każdym razem proponowała inną wersję i żadnej nie dało się ostatecznie odrzucić. „Rzeczywiście walczyłem nie z oprawcą, lecz z obrazem” – i pozostało mu to zaakceptować.

Już po wszystkim, uzyskawszy wgląd do akt sprawy, Adam po raz pierwszy zwrócił uwagę na jeden szczegół, wcześniej wydający się nieistotny. W protokole przesłuchania pana Naruszewskiego z lat dziewięćdziesiątych znajdowało się zdanie:

„Śledczy Pawlak znajdował się w pomieszczeniu w chwili konfliktu”.

Nie inicjował, nie uczestniczył – tylko znajdował się. To była bardzo ostrożna formuła, pozostawiająca miejsce na prawdę.

Teraz Adam stał nad rzeką, patrzył na dom i próbował zrozumieć kto właściwie podjął decyzję tamtej nocy – on, Naruszewski czy Pawlak. Nie wiedział, czy czuje wdzięczność. Jeśli Naruszewski żyje – najpewniej skłamał. Jeśli nie żyje – poświęcił się. Jeśli upozorował śmierć – stał się tym, kim zawsze bał się, że może się

stać. „A co, jeśli Pawlak naprawdę nie dusił ojca – tylko go nie powstrzymał?” – pomyślał Adam, choć ta myśl była dla niego nie do zniesienia. Burzyła prosty schemat „morderca – ofiara”.

A jednak wyjaśniała zbyt wiele: łagodność Pawlaka, jego lęk przed sprawą, pośpiech w jej zamknięciu.

Maciej Naruszewski – zaginiony czy martwy, Adam nigdy nie mógł się zdecydować, jaki wariant przyjąć – pozostawał kluczową postacią. Był jedynym, który mówił z przekonaniem w głosie. Nawet zbyt dużym. Czasem Adam miał wrażenie, że Naruszewski wskazał nazwisko śledczego nie dlatego, że był pewien jego winy, lecz dlatego, że wiedział jedno: Adam w nią uwierzy. Jeśli Pawlak jest mordercą – wszystko się zgadza. Jeśli nie – Naruszewski świadomie skierował zemstę w dogodną stronę. A wtedy jego zniknięcie przedstawiało być ofiarą, a stawało się manipulacją.

„Jeśli Pawlak jest winny – zemsta i tak przyszła za późno. Jeśli niewinny – stałem się częścią niesprawiedliwości. Jeśli prawda leży gdzieś pośrodku – nigdy nie zostanie udowodniona”. Im dłużej o tym myślał, tym głębiej grzązał w ślepych zaułku. Ostatecznie udał się do psychiatry.

– Powinien pan założyć, że pamięć nie pełni roli świadka, a właśnie podejrzanego. Proszę zrozumieć, że winny i niewinny mogą być tą samą osobą – w różnym czasie. I proszę pamiętać, był pan wtedy dzieckiem. Walczy pan nie z oprawcą, lecz z wytworem wyobraźni w swojej głowie.

Ten dom przestał go przerażać. Rzeka była ciemna, niemal nieruchoma, jak wtedy – dwadzieścia lat temu. Zdjął zegarek, potem pierścień – prezent od ojca. Wiatr marszczył lekkie fale, a Adam długo patrzył na odbicie tajemniczego domu w tafli wody. Zrobił krok naprzód – nie patrząc w dół, nie myśląc o tym, co wydarzy się dalej. Zegarek nadal tykał. Woda cicho się poruszyła. A Adam na chwilę znieruchomiał, rozmyślając o ludziach, prawdzie i sensie życia.

Sofya Hryenko

Igła

Rozdział 1

Kolejny piątkowy wieczór...

Znajomy zaprosił mnie, bym towarzyszyła mu podczas wezwania, które wpłynęło na komisariat. Podchodząc do miejsca zdarzenia, postanowiłam obejść budynek i zajrzeć na podwórko – liczyłam, że znajdę tam coś ciekawego do kadru. Według słów mojego kolegi zgłoszenie było absurdalne: kobiecie zginął kaktus. Oczywiście w naszym małym miasteczku zdarzały się różne rzeczy, ale o czymś takim jeszcze nie słyszałam.

Przy oknie zauważyłam maki – ich płatki miały nasycony, niemal niepokojący czerwony kolor. Wyjęłam aparat, by uwiecznić je w blasku południowego słońca.

– Pan nic nie rozumie! Ten kaktus... on... on jest bardzo ważny!!! – krzyczała kobieta, żywo gestykulując.

Obok stał Dmitrij, próbując zachować resztki spokoju, który w tej pracy ulatniał się błyskawicznie.

Ta scena psuła mi kadr. Jeszcze raz przetańlam obiektyw rąbkiem sukienki, przybliżyłam obraz i... znieruchomiałam. Obok jaskrawej kępy maków widniały kikuty łądyg kwiatowych. W miękkiej ziemi, tuż przy klombie, odcisnęły się ślady ciężkich butów. A kawałek dalej wałyły się jakieś skrawki papieru.

Obraz, który ukazał się moim oczom, był co najmniej dziwny.

Znalazłszy furtkę, podeszłam bliżej, gdy nagle ledwo zdążyłam uchylić się przed talerzem lecącym prosto we mnie. Sekundę później z okna kuchni dobiegł kolejny huk tłuczonego szkła.

- Dlaczego nie możecie znaleźć mojego kaktusa?!

- Kobieto, pani jest szalona! - wybuchnął mężczyzna. - Czy policja nie ma nic lepszego do roboty niż szukanie pani doniczki z kwiatkiem?!

Ha. A przecież Dima mówił, że na zmianie kompletnie nic się nie dzieje.

Podniosłam dziwne kartki - okazało się, że to broszury pobliskiej kawiarni. Mieściła się ona w jednym z najstarszych budynków w naszym miasteczku.

Droga zajęła najwyżej pięć minut. Budynek kawiarni rzeczywiście wyglądał na wiekowy: pociemniała od czasu cegła, ciężkie dębowe drzwi i szyld, z którego dawno już odprysnęła farba.

- Dima, stój - gwałtownie zahamowałam i uniosłam aparat. - Światło jest teraz idealne. Stań przy wejściu, jakbyś był na służbie.

- Słuchaj, nie zaczynaj - Skrzywił się, zasłaniając dłonią obiektyw. - Jestem głodny, zły i śmierdzą skandalizującymi staruszkami. Jakie znowu zdjęcie?

- Tylko jedno! Do mojego portfolio. No, proszę - starałam się brzmieć przekonująco. Aprobata redaktora była mi potrzebna nie mniej niż Dimie gorący obiad.

Dmitrij niechętnie opuścił rękę i zamarł przy wejściu, opierając się ramieniem o futrynę. Patrzył gdzieś w bok, wyraźnie marząc o tym, by jak najszybciej wejść do środka. Nastawiłam ostrość. W obiektywie jego sylwetka wyglądała zdumiewająco harmonijnie na tle starych ścian: głębokie, atramentowe cienie i jego podkreślona oficjalnością, nieco zmęczona twarz.

W momencie kliknięcia migawki ciężkie drzwi kawiarni nagle

się otworzyły. Dima drgnął z zaskoczenia i niefortunnie mrugnął.

Opuściłam aparat i spojrzałam na wynik.

- Boże, Dima, wyglądasz tu jak przerażony puchacz - nie postrzymałam śmiechu, podając mu aparat, by spojrzeć na ekran.

Zerknął na swoją twarz z półprzymkniętymi oczami, przez chwilę milczał, a potem krótko, ale szczerze parsknął śmiechem. Napięcie, które nagromadziło się po tym dziwnym wezwaniu, w końcu zaczęło opadać.

- No widzisz, a nie chciałeś - mruknął, lekko popychając mnie w stronę wejścia. - Usuń ten wstyd, jak będziesz miała chwilę. Chodźmy już.

Dima pchnął drzwi, a dzwoneczek nad wejściem sucho zadzwieczał.

Wewnątrz było duszno, czuć było stare drewno zmieszane z tym tytoniem. Przeszliśmy na sam koniec sali i zajęliśmy niepozorny stolik w rogu ukryty za masywną kolumną. Dima czuł się tu jak u siebie - nawet nie spojrzął w menu.

Podszedł do nas kelner - młody chłopak z rozbieganym wzrokiem i nienaturalnie bladą cerą.

- To, co zwykle, Dima? - zapytał, prawie na mnie nie patrząc.

- Tak, dwie porcje. I mocna kawa - mruknął Dima.

Wymienili krótkie, ledwo dostrzegalne spojrzenie. Kelner na sekundę zatrzymał dłoń na krawędzi stołu i zauważyłam, jak między nimi coś przemknęło - małe zawiniątko, które błyskawicznie zniknęło w kieszeni munduru Dimy. Moje serce na chwilę zamarło, ale natychmiast skarciłam się w myślach. Nawyk fotografa do rejestrowania każdego ruchu zadziałał szybciej niż zdrowy rozsądek, ale nie drążyłam tego tematu. Pewnie po prostu pieniądze za poprzedni obiad albo jakaś drobna przysługa. W końcu Dima pracował tu już trzy lata i znał każdego.

- Zaraz wracam, umyję ręce - rzucił Dima i nie czekając na odpowiedź, odszedł w stronę zaplecza.

Zostałam sama. Cisza w kawiarni zaczęła mnie przytłaczać. By zająć ręce, znów sięgnęłam po aparat, ale mój wzrok padł na sąsiedni stolik, na wpół ukryty w cieniu. Tam, pośród brudnych filiżanek, stała doniczka.

Zamarłam. To był kaktus – ten sam, kolczasty i niezdarny, o który właścicielka domu urządziła niedawno histerię. Ale coś było z nim nie tak. Podchodząc bliżej, poczułam, jak po plecach przebiega mi dreszcz. Między zielonymi żebrami rośliny, pod nie-naturalnym kątem, tkwiły zużyte igły od strzykawek. Połyskiwały w nikłym świetle niczym metalowe ciernie, które zatrwały roślinę jadem.

W tym momencie wrócił Dima. Wyglądał na bardziej opanowanego, ale w jego ruchach pojawiła się jakaś gorączkowa gwałtowność.

– Dima, spójrz. – Wskazałam na kaktusa, starając się, by mój głos nie drżał. – To ten sam. I te igły... Boże, to wygląda przerażająco. Musimy je zabrać, sprawdzić. Możesz je wysłać do ekspertyzy, prawda?

Dima zmarszczył brwi, na moment w jego oczach mignęło coś na kształt paniki, ale szybko odzyskał rezon i spróbował się uśmiechnąć, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Słuchaj, brawo, Katarzyna. Oko jak u sokoła – jego głos brzmiał cicho i przymilnie. – Zabiorę to. Ale tylko proszę, bez szumu, dobrze? Nie przyciągaj uwagi, dopóki wszystkiego nie zbadamy. Zbędne uszy nie są nam teraz potrzebne.

Wyjął z kieszeni rękawiczki, a ja patrzyłam na niego, czując dumę. Moja uważność okazała się przydatna, a teraz profesjonalista zajmie się resztą.

– Ekspertyza wymaga czasu – dodał, ostrożnie pakując znalezi-sko. – To nie film, wyniki nie przyjdą w pięć minut. Najważniejsze – milcz o tym, dopóki nie dam ci znać.

Rozdział 2

Minęły dwa tygodnie. W tym czasie świat wokół jakby zasnuł się mgłą, w której rzeczywistość mieszała się z natarczywą uwagą Dmitrija. Zapraszał mnie na randki niemal każdego wieczoru: spacer po opustoszałych parkach, długie przesiadywanie w małych kawiarniach, gdzie godzinami gotów był słuchać moich opowieści o fotografii.

Dima naprawdę słuchał – i to mnie ujęło. Był jedynym, który nie nazywał mojej pasji „niepoważną”, jedynym, który rozumiał mnie jak nikt inny. Okazywał mi zainteresowanie przez ostatnie dwa lata, a teraz, gdy oficjalnie byliśmy parą, czułam się w dziwnej pułapce. Nie wiedziałam, czy go kocham, ale był moją najbliższą osobą, moją bezpieczną przystanią.

Co prawda, gdy tylko wspominałam o ekspertyzie tych igieł, przystań zaczynała sztormować.

– Katarzyna, no ile można? – ucinał temat natychmiast. – W laboratorium mają urwanie głowy, eksperci nie wyrabiają. Porozmawiajmy lepiej o tej twojej serii zdjęć z opuszczonej lokomotywowni...

Wierzyłam mu. Chciałam wierzyć.

W poszukiwaniu nowych kadrów coraz częściej zapuszczałam się w najbardziej odludne miejsca. Pewnego wieczoru, gdy słońce niemal dotknęło horyzontu, znalazłam się na obrzeżach miasta. Las podchodził tu pod same opuszczone zabudowania. Ustawiłam parametry aparatu, licząc na uchwycenie długich cieni, i ruszyłam wzdłuż skraju lasu.

A potem go zobaczyłam.

Trup leżał w wysokiej trawie, nienaturalnie wykręcony, niczym połamana lalka. Panika ogarnęła mnie błyskawicznie, wrywając powietrze z płuc. Aparat o mało nie wypadł mi z drżących dłoni. Pierwszym odruchem była ucieczka, drugim – wybranie numeru, który na liście kontaktów widniał pod jedyнкą.

Dima przyjechał szybko razem z kolegami. Niebieskie i czerwone światła kogutów rozdzierały zmierzch, zmieniając las w scenę z koszmaru. Podczas gdy policja ogradzała teren i zajmowała się swoją rutynową pracą, Dima był przy mnie. Mocno mnie przytulił, okrywając swoją kurtką przed nagłymi dreszczami.

– Wszystko w porządku, Kasia, jestem tutaj – szeptał, gładząc mnie po głowie. – Już tam nie patrz. Po prostu oddychaj. Dobrze zrobiłaś, że od razu do mnie zadzwoniłaś.

Wtuliłam twarz w jego ramię, wdychając znajomy zapach perfum i tytoniu. Ręce wciąż drżały, a w uszach huczało mi własne serce. Palce kurczowo, aż do białości kostek, zacisnęły się na kor-

pusie aparatu. Nie mogłam go wypuścić – to była jedyna twarda rzecz w świecie, który właśnie osunął mi się spod nóg.

– Chodźmy do samochodu, odwiozę cię do domu – powiedział cicho. – Musisz napić się herbaty i przespać.

Skinęłam tylko krótko głową, ale palce nie puściły. Nadal przyciskałam aparat do piersi, jakby ten kawałek plastiku i szkła był moją jedyną tarczą.

Następnego ranka szok nie minął, a jedynie zmienił się w ciężką, watowaną ciszę. Świat za oknem wydawał się zbyt głośny i obcy, więc zrobiłam to, co zawsze pomagało mi przetrwać – odizolowałam się. Zasłoniłam zasłony, wyłączyłam telefon i zanurzyłam się w tym, co naprawdę kochałam – w moich fotografiach.

Cały dzień spędziłam przed komputerem, przeglądając archiwa. To był mój sposób na medytację. Ale im dłużej przeglądałam kadry, tym wyraźniej widziałam pewną prawidłowość: na połowie zdjęć mignął Dima. Tu śmieje się odwrócony od obiektywu, tam jego ręka przytrzymuje mi drzwi, tu jest poważny i skupiony na tle starych ceglanych ścian. Był wpleciony w każdy mój ważny moment niczym niewidzialna nić trzymająca mnie na powierzchni. Przez te dwa tygodnie stał się nie tylko moim chłopakiem – stał się moim największym oparciem.

Wieczorem przyjechał po mnie.

– Kasiu, nie możesz siedzieć sama w czterech ścianach – powiedział cicho, a ja posłusznie poszłam za nim.

Zabrał mnie do siebie. W jego mieszkaniu panowała niezwykła, uroczysta atmosfera: przytłumione światło, miękka muzyka i świątecznie nakryty stół, który wyglądał zbyt idealnie jak na zwykłą kolację. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, a w blasku świec Dima wydawał mi się bohaterem z tych powieści, o których kiedyś marzyłam. Człowiek, który uratował mnie przed koszmarem w lesie, który mnie słuchał i chronił.

– Katarzyna... – Nagle przykrył moją dłoń swoją. Jego ręka była ciepła i pewna. – Długo myślałem, jak to powiedzieć... Ale po wczorajszym zrozumiałem, że nie chcę tracić ani minuty. Chcę zawsze być tym, który cię chroni.

Wyjął małe aksamitne pudełko. Wewnątrz matowo błysnęła

pierścionek.

- Wyjdiesz za mnie?

W tym momencie wszystko, co złe – i dziwny kaktus, i igły, i ten horror na polanie – ostatecznie zeszło na dalszy plan. Przede mną był człowiek, który rozumiał mnie najlepiej na świecie. Szczęśliwy uśmiech sam pojawił się na mojej twarzy.

- Tak – wyszeptalam, czując, jak do oczu napływają mi łzy ulgi.

- Tak, zgadzam się.

Następnego ranka euforia po zaręczynach nieco przygasła, ustępując miejsca nawykowemu dążeniu do porządku. Pierścionek przyjemnie chłodził palec, a ja znów siedziałam przed monitorem. Musiałam dokończyć porządkowanie archiwum.

Przeglądając folder ze zdjęciami sprzed dwóch tygodni, natknęłam się na tę fotografię pod kawiarnią. Dima śmiesznie mruży na niej oczy przez błysk nagle otwartych drzwi. Uśmiechnęłam się, ale wzrok mimowolnie prześlizgnął się na tło. Z drzwi wychodził człowiek. Wtedy uznałam go za zbędną plamę w kompozycji, ale teraz, wpatrując się w ziarnisty obraz, poczułam dziwny, lepki niepokój. Wyglądał na wycieńczonego, niemal przeźroczystego w tym ostrym świetle, a w jego sylwetce było coś głęboko złamanego. Dochodząc do końca serii, odruchowo nacisnęłam „Enter”.

Ekran zalało chłodne, wieczorne światło. To było zdjęcie z miejsca zbrodni. Pewnie zrobiło się przypadkiem, gdy trzęsącymi się rękami ścisnęłam aparat. Kadr wyszedł zadziwiająco ostry. I w tej samej sekundzie oddech uwiązał mi w gardle. W wysokiej trawie leżał ten sam człowiek spod kawiarni. Trup był wykręcony tak, że jego twarz – teraz już szara i nieruchoma – patrzyła prosto w obiektyw. A obok, pośród przygniecionych łodyg, wyraźnie widniały rozrzucone strzykawki i dziwnie znajome papierowe ulotki w formie zawiniątek – jedno z nich Dima wtedy, w kawiarni, tak sprawnie schował do kieszeni.

Wieczorem Dima przyjechał do mnie, promienny i troskliwy, z bukietem moich ulubionych kwiatów.

- Dima, ja... przeglądałam dzisiaj zdjęcia – mój głos drgnął zdradziecko. – Ten człowiek z lasu. Sfotografowałam go przypadkiem. On był wtedy pod kawiarnią, pamiętasz? Tego dnia, gdy

poszliśmy na obiad...

Dima znieruchomiał. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, ale wzrok natychmiast stał się zimny i kłujący, niczym igły tamtego kaktusa. Powoli podszedł i położył mi ręce na ramionach, ściskając je nieco mocniej niż zwykle.

- Kasia, posłuchaj mnie uważnie - jego ton był przerażająco spokojny. - Pora o tym zapomnieć. To był po prostu stoczony pik. W miejskich wiadomościach podali już komunikat: nieszczęśliwy wypadek, serce nie wytrzymało od nadmiaru alkoholu. Sprawa zamknięta.

- Ale... - próbowałam przerwać, lecz on miękko, ale stanowczo mi nie pozwolił.

- Po prostu tak ci się zdawało przez szok. Jesteś artystką, masz zbyt żywą wyobraźnię. Nie zaśmiecaj sobie głowy bzdurami, niedługo nasz ślub. Po prostu usuńmy to zdjęcie i nigdy więcej do tego nie wracajmy. Dobrze?

Patrzył na mnie, czekając na moje skinienie, a w tym spojrzeniu nie było już tej czułości, w którą wierzyłam wczoraj - raczej jakiś drapieżny niepokój.

Rozdział 3

Późno wieczorem, wrzucając rzeczy do prania, usłyszałam suchy szelest. Z kieszeni sukienki na kafelki wypadł ten sam skrawek ulotki, który podniosłam pod domem staruszki. Podniosłam go i w tym momencie w mojej głowie coś przeskoczyło.

Puzzle zaczęły się układać z przerażającą prędkością. Papier, z którego skręcone były zawiniątka na miejscu zbrodni... to był ten sam gruby, kredowy papier. Czerwone logo, charakterystyczna czcionka. Przypomniałam sobie te skrawki przy makach - były wszędzie. Mój narzeczony, mój Dima... on nie tylko jadał w tej kawiarni. On był częścią tego wszystkiego.

Ale wciąż rozpaczliwie chwytalam się resztek zaufania. Potrzebowałam potwierdzenia.

Następnego ranka, nie mówiąc nic Dimie, pojechałam do tam-

tej kobiety. Przywitała mnie już nie krzykiem, lecz cichym, wyblakłym żalem.

- To był mój mąż - wyszeptała, patrząc w próżnię. - I ten kaktus... przyniósł go dwa tygodnie temu. Powiedział, że to prezent, ostatni prezent. A potem zniknął. Ostatnio był nieswój... wydawało mi się, że na czymś „siedzi”. Wracał do domu, a oczy miał dzikie, szklane.

Chłód przeniknął mnie do szpiku kości. Kaktusa nie ukradziono - mąż kobiety zabrał go, by wyciągnąć towar ukryty w środku.

Parę dni później udawałam, że wszystko jest w porządku i namówiłam Dimę, byśmy znów poszli do tej kawiarni. Uśmiechałam się, piłam niesmaczną kawę i czekałam. Gdy on, skinąwszy kelnerowi, oddalił się na zaplecze, ja, starając się nie przyciągać uwagi, przemknęłam za nim.

Za cienkimi drzwiami usłyszałam głosy.

- Ostatnio jest za dużo szumu - głos Dimy był twardy, pozbawiony jakiegokolwiek ciepła. - Mówiłem, że dawka ma być mała, nie wiem, dosypujcie tam czegoś, żeby waga się zgadzała, nie jest łatwo zdobywać tyle towaru.

O mało nie zwymiotowałam tam, na korytarzu. Mój bohater, moja „bezpieczna przystań” budował nasze szczęście na złamanym życiu i trupach, które sam tworzył, wciągając innych w nałóg.

Nie czekając na jego powrót, wybiegłam z kawiarni. Złapałam taksówkę i pojechałam do rodziców - jedynego miejsca, gdzie nie odważyłby się zrobić sceny.

- Pokłóciliśmy się, bardzo mocno - rzuciłam matce, zamykając się w swoim starym pokoju. - Proszę, nie wpuszczajcie go.

Cały wieczór spędziłam w gorączkowym amoku. Wyciągnęłam wszystkie materiały, zdjęcia, zapiski. Palce latały po klawiaturze, wylewając na ekran cały ból, rozczarowanie i grozę odkrycia. To nie był zwykły artykuł - to był krzyk. Pod wpływem emocji, nie myśląc o konsekwencjach ani własnym bezpieczeństwie, nacisnęłam „Opublikuj”.

Do rana artykuł w internecie przeczytały tysiące osób. Nie wiedziałam jeszcze, że ten tekst dotrze do najwyższego dowództwa

policii i wywoła taki rezonans wśród mieszkańców. Dosłownie następnego dnia zgarnęli Dimę, a ja tylko patrzyłam, jak wsadzają go do radiowozu z kratami. Mój ukochany... wystawiłam go. Tak, popełnił straszny błąd, którego nie wolno wybaczać, ale w tamtej chwili wcale nie cieszyłam się ze sprawiedliwości. Jestem okropną narzeczoną, mój ukochany człowiek... mój Dima...

Katsiaryna Karaban

Ogród Hesperyd

Ciemnogrnatowy samochód sprzed dekady bezszelestnie sunął po mokrym asfalcie prospektu. Za oknem w powolnej procesji przepływał nocny Mińsk tonący w siwej mgle i rozmytym blasku neonów. Skręcił w znajome podwórko, zgasił silnik, a cisza spadła na niego gęstym, niemal namacalnym całunem. Siedział nieruchomo, wpatrując się w słabo oświetloną klatkę schodową, pod palcami na czując chłodną gładkość kluczyka w kieszeni marynarki. Twardy, rzeczywisty przedmiot w świetle, który za chwilę miał utracić wszelką realność. Wszystko wymierzone. Nie myślał o zbliżającym się czynie w kategoriach mordu. Widział go jako smutną konieczność, ostatni element tragicznej całości.

Zimne, wilgotne powietrze sparzyło płuca, gdy wysiadał. Zadzwonił do domofonu, informując o swoim przybyciu. Kirył wszedł do przedpokoju i powitał go znajomy zapach farb olejnych, który zawsze ją otaczał, nawet tu, z dala od pracowni. Anna stała na środku salonu. Nawet we własnym domu wyglądała olśniewająco elegancko. Teraz stała ze skrzyżowanymi na pier-

si ramionami, na twarzy miała znieruchomiały wyraz zmęczonej irytacji.

- Po co przyjechałeś, Kirył? - spytała, a w jej głosie nie było strachu, tylko głębokie, bezbrzeżne zmęczenie. - Wszystko już sobie powiedzieliśmy.

- Nic nie powiedzieliśmy, Aniu - odparł łagodnie. - Dopiero zaczęliśmy rozmowę. Przerwałaś ją, sądząc, że możesz po prostu odejść.

- Mogę wszystko, co zechcę. - Nie ruszyła się z miejsca, śledząc go wzrokiem. - I odchodzę. Od ciebie, od Siergiejewicza, od tej całej brudnej gry.

- Gry? - Pozwolił sobie na uśmiech, krótki i bezdźwięczny. - Tworzyliśmy coś więcej. Przywracaliśmy światu piękno, które utracił. A ty chcesz teraz wszystko zepsuć przez nagłe obudzone sumienie? Za późno na sentymenty, moja miła.

- To nie sentymenty. Po prostu zmęczyły mnie twoje naciśki. Chcę znowu malować swoje obrazy, a nie poprawiać cudze arcydzieła.

- Twoje obrazy? - Zatrzymał się naprzeciw niej. - Twoich obrazów nikt nie kupi nawet za sto dolarów. A nasze... Naszej ostatniej pracy nawet nie podpisałaś. Zostawiłaś ją niedokończoną.

Pokręciła głową, a w jej oczach zapłonęły łyzy bezsilnej wściekłości. - Kirył, już o wszystkim komuś powiedziałam. Jeśli coś mi się stanie...

Nie słuchał dalej. Groźby były ostatnią deską ratunku słabych, a nienawidził słabości. Zrobił krok do przodu - odskoczyła instynktownie, odwracając się do niego ramieniem. To był jej ostatni gest nieposłuszeństwa. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko i niemal bezgłośnie. Jego ruchy były wyćwiczone i bezlitosne. Nie było krzyków, desperackich prób oporu. Tylko krótki, stłumiony dźwięk, głuchy odgłos uderzenia o dywan, a potem - cisza, przerywana jedynie miarowym tykaniem ściennego zegara w sąsiednim pokoju. Stał nad nią, oddychając równo, patrząc na nieruchome ciało u swych stóp. Żadnej wściekłości, żadnej skruchy, tylko chłodne, czyste zadowolenie z rozwiązanej kwestii.

Potem rozpoczęła się prawdziwa praca. Kirył posadził jej ciało

w fotelu, poprawiając głowę z nienaturalnym, niemal rzeźbiarskim spokojem. Powietrze w pokoju zastygło, jakby wyczekując rozpoczęcia misterium. Zaczął od kręgu. Wyjąwszy z kieszeni mały woreczek, powolnym krokiem obszedł fotel, zostawiając na podłodze ciekłą ścieżkę ciemnego piasku z domieszką startej cynobrowej czerwieni. Zamknięty kontur oddzielił ją od świata żywych, przekształcając otaczającą przestrzeń w sakralną. Potem pojawił się pędzelek i słoiczek z gęstą białą cynkową. Zamalował jej usta w nieme, doskonale linie. Następnie wyjął pięć cienkich kościelnych świec nacieranych kadzidłem i ustawił je półkolem u podnóża fotela, nie zapalając ich. Czekały na swoją godzinę, niemi świadkowie. Z wewnętrznej kieszeni wydobył starożytny klucz i trzykrotnie przeciągnął nim po jej lewej dłoni, zostawiając na skórze płytkie zadrapania, zanim włożył zimny metal w palce. Oto obraz był dopełniony. To już nie był zwłoki, lecz ołtarz wzniesiony jego własną wolą. I czuł się nie mordercą, lecz kapłanem, który dopełnił mrocznego misterium. Wyszedł z mieszkania tak samo bezszelestnie, jak wszedł, i rozpuścił się w wilgotnej mińskiej nocy.

Przeciągający się jesienny ranek, blade i łzawy, zastał mieszkanie Anny w stanie lodowatego odrętwienia. Światło, które nieśmiało przebijało się przez warstwy miejskiej mgły i zakurzone okno, wylało z półmroku misternie wystylizowaną kompozycję. Lika, już w białych rękawiczkach, poruszała się po pokoju z upiorną lekkością, jej ostry wzrok odczytywał najdrobniejsze detale. To ona wychwyciła z półmroku ten jeden, zdumiewająco wyraźny odcisk na bladej skórze szyi.

- Patrzcie - powiedziała cicho - wydaje się, że nasz gość był na tyle pewny siebie, że postanowił zostawić nam swoją wizytówkę.

Borys, jego masywna sylwetka zasłaniała wejście, nie podzielał tej pewności.

- Wystroili ją jak na paradę - zachrypiał. - Włożyli w dłoń klucz, usta zamalowali farbą... To nie maniacy. Maniacy to co innego. To zrobił ktoś z głową. Szukajcie tego, komu ona coś zamknęła. Albo - wręcz przeciwnie - otworzyła. Początkowa pewność szybkiego rozwiązania ustąpiła niepokojącej świadomości.

- Odcisk jest już w systemie – zameldowała Lika.

- Trwa sprawdzanie. Jeśli ten typ kiedykolwiek wpadł w pole widzenia, dowiemy się w ciągu dziesięciu minut. – Borys przysiadł na piętach przy granicy piaskowego kręgu.

Urządzenie Liki wydało krótki, przenikliwy dźwięk. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej. Lecz zamiast triumfalnego okrzyku na jej twarzy zastygło zdumienie.

- Nic – wyszeptała. – Brak trafień. Tego odcisku nie ma w żadnej bazie. Ani kryminalnych, ani cywilnych.

Tego ranka Galeria Mińska była zamknięta dla zwiedzających, ale w jej zapleczach wrzała praca. Kirył stał przed sztalugą, na której był obraz namalowany jaskrawymi barwami, zdradzający pracę utalentowanego mistrza z dziewiętnastego wieku.

- Widzicie tę plamę? Zbyt charakterystyczna. Trzeba ją złagodzić.

Drzwi się otworzyły, wszedł logistyk w nienagannym garniturze.

- Nowy ładunek. Dwa dzieła. Z prywatnej kolekcji w Pradze. Pilne.

- Bez Ani katalogowanie trwa dwa razy dłużej. Jej oko było doskonałe. Teraz potrzebujemy analiz, a analizy wymagają czasu.

- Nie mamy czasu – odparł logistyk. – Co się stało z waszym ekspertem, to nie nasz problem. Nasz problem to towar.

- Nasze gwarancje pozostają w mocy. – Kirył wyjął ze skarbca szklaną płytkę ze znakiem. – Ten sygnał to nasza pieczęć. Obraz, który przeszedł przez nasze ręce, jest czysty.

- Znak stawia człowiek. A wasz człowiek, jak widać, już z wami nie jest. Znajdźcie zastępstwo albo wasz znak bardzo szybko straci wartość.

Po tych słowach wszedł.

Kirył pozostał sam. Jego wzrok padł na polimerowy odlew. Ile nocy spędzili z Anią, dopracowując technologię! To ona znalazła skład, który nie niszczył się z czasem. Ich wspólne dzieło. Teraz pozostawało iść naprzód, odcinając wszystko zbędne, jak zawsze.

- Tak się nie dzieje – rzekła cicho Lika, a w jej głosie po raz pierwszy zabrzmiała czujność.

- Odcisk jest w bazie, ale nie kryminalnej. Figuruje w katalogu British Museum jako artefakt. Rzymski krem kosmetyczny z drugiego wieku naszej ery. - Borys prychnął. - Może to podróżnik w czasie się postarał? Zmęczył się walkami gladiatorów, postanowił w Mińsku kogoś udusić dla odmiany.

Lika pokręciła głową:

- Czas zachowuje odciski, ale nie przenosi ich przez wieki. Potrzebujemy człowieka, który miał dostęp do tego artefaktu, dla którego ten ślad coś znaczył.

W galerii dźwięk telefonu sprawił, że Kirył drgnął.

- Siergiejewicz, co się u ciebie dzieje? Dzwonili do mnie celnicy. Pytają o obraz.

- Nic krytycznego. Rutynowa kontrola.

- Mam nadzieję, że twoje „kreatywne podejście” do rozwiązywania kwestii kadrowych nie zwróci uwagi na nasz biznes. Pamiętaj, jesteś potrzebny, dopóki twoja galeria zapewnia czystość transakcji.

- Doskonale rozumiem sytuację. Wszystkie zobowiązania zostaną wykonane.

Ironia nagle go sparzyła, gorzka i doskonała. Stworzyli tę metkę z Anią jako absolutną ochronę. Siedem lat temu, gdy międzynarodowy fundusz sztuki Hesperion ich zatrudnił, szukali technologii, której nie da się podrobić. I znaleźli - w tym rzymskim kremie, w idealnym odcisku, który zachował się dzięki unikalnemu składowi.

- Patrz, Kir - powiedziała wtedy Anna - stworzyliśmy nie tylko ochronę. Stworzyliśmy wieczność.

A on spojrział na ich odkrycie i ujrzał miecz.

- Po co oddawać im klucz? O wiele korzystniej użyć go, by otwierać drzwi dla siebie.

Ich praca naukowa stała się próbą generalną. A teraz - głównym przedstawieniem. I on był jego reżyserem. Lecz teraz, patrząc na pusty stół Anny, z bolesną jasnością uświadomił sobie, że ten ślad znakomicie się identyfikuje. Tylko nie tak, jak zakładał. Wiedzie do ich wspólnych badań. I teraz przyłożył tę pieczęć na niej, jak piętno.

Tymczasem Lika, odłożywszy laptopa, przysiadła przed regałem z książkami. Jej wzrok padł na rząd fachowych czasopism. Sięgnęła po jeden tom, wypadła z niego specyfikacja od Hesperionu. W rubryce „wykonawcy” znajdowały się dwa nazwiska: Anna A. i Kirył S.

- Patrz. To był ich legalny projekt. Mieli stworzyć ochronę przed fałszerstwami.

Mark wziął dokument. Jego wzrok przesunął się po znajomym nazwisku galerysty, potem po marginesach pokreślonych ręką Anny. Obok obrazu odcisku napisała: „K., znaleźliśmy to. Ochrona absolutna!”. A niżej, innym, ostrym i pewnym pismem, było napisane: „Nie. Znaleźliśmy broń absolutną”. Borys, przeglądając szufladę biurka, wydobył notatnik w skórzanej oprawie. Na pierwszej stronie było napisane: „Wszystko zebrane. W najbliższym czasie idę do Marka. Jeśli to przeczyta – znaczy, nie zdążyłam. Kir, wybac. Ale nie mogę już”.

- Nie zabił jej. Wykonał wyrok. Skazał zdrajcę w swoim własnym królestwie. – Borys spojrział na Likę.

W galerii Kirył zamknął się w gabinecie. Znów wziął telefon i wybrał numer.

- Przepraszam. Muszę spotkać się z partnerami. Mam propozycję optymalizacji biznesu. Tak, bez Ani. Znalazłem rozwiązanie.

Powoli odłożył słuchawkę, a palec na moment zawisł na przycisku. W oknie ujrzał postać. Ten starzec stał z rękami w kieszeniach znoszonych spodni, a jego postawa była ucieleśnieniem cierpliwego, niemal obojętnego wyczekiwania kata, który wie, że czas działa na jego korzyść. Przestrzeń między nimi nagle się skurczyła. Spotkawszy się wzrokiem z tym, który go obserwował, Kirył poczuł nie strach, lecz dziwne, lodowate oświecenie. Jego próżna zagadka, rozwiązana, przekształciła się w banalną etykietę. Odcisk, będący pieczęcią jego geniuszu, stał się piętnem, które teraz wiodło go na miejsce egzekucji. Nie był już twórcą tajemnicy. Był jej zdemaskowaną personą.

Karolina Amanova

Sataniczny rytuał

Deszcz zaczął się nagle, szara i ponura pogoda – jakby ktoś pstryknął przełącznikiem nad miastem. Ciężkie krople uderzały w maskę samochodu, asfalt i twarz. Lucy Pempit siedziała w środku Forda, nie włączając wycieraczek. Przednia szyba mętniała, a świat za nią stawał się rozmytymi cieniami.

Nie spieszyła się, by wysiąść.

Na poboczu stało już dwóch policjantów patrolu, a za nimi tłum gliniarzy, którzy wyglądali tak, jakby nie mieli twarzy. Za ich plecami – kordon policyjny, światła reflektorów, sylwetki techników kryminalistyki. Lucy wiedziała: jeśli wszystko wygląda tak cicho i upiornie, to w środku jest piekło.

Ciało znaleziono przy starej trasie, tam, gdzie miasto rozpływało się w bagnach.

Stary znak drogowy – „Jordan-Wuy, 20 mil” – był wykręcony przez wiatr, strzałka wskazywała w ciemność.

Lucy wysiadła, jej wyostrzone zmysły natychmiast wychwyciły ostry zapach gnicia. Ziemia pod stopami była grząska, powie-

trze ciężkie.

- Detektyw Andrio. - Skinął głową jeden z młodych funkcjonariuszy. - Znaleźli dziś rano. Dzwonił rybak.

Ciało leżało w środku kręgu ułożonego z gałęzi i kamieni.

Nie było to po prostu ciało - raczej scena z najgorszego horroru.

Ułożenie kończyn, linie na ziemi, dziwne znaki na klatce piersiowej.

Krwi prawie nie było - jakby została zmyta.

Jednak na błocie białą skrawek papieru: łacińska fraza, zapisana rozmażanym atramentem.

„Ego sum lux in tenebris”.

Ja jestem światłem w ciemności.

- Wygląda na inscenizację - powiedział technik kryminalistyki. - Bardzo staranną. Jakby... według instrukcji.

Lucy przykucnęła. Zaczęła przyglądać się szczegółom. Kobieta - około trzydziestki, ręce złożone na piersi, palce przewiązane nitką.

Nitka była czarna. Kościelna?

Nie - syntetyczna, nowoczesna.

- Ktoś widział samochód? - zapytała Lucy.

- Nikt. Kamer brak - odpowiedział policjant. - Miejsce głucho, ogólnie bezлюдne.

Poczuła, że coś się nie zgadza. To nie było zwykłe morderstwo. To był znak - jakby ktoś chciał jej coś przekazać.

* * *

Nakomisariacie zapach kawy i papieru miesza się z elektrycznością.

Stara klimatyzacja buczała jak ul.

Na ścianie - tablica ze zdjęciami: trzy podobne sprawy z ostatnich dwóch miesięcy. Wszystkie ofiary - kobiety, mniej więcej w tym samym wieku, wszystkie sprawy z elementami rytuału.

Ale prasa o tym nie pisała. Prokuratura prosiła o milczenie: „Nie straszyc społeczeństwa”.

Lucy przyglądała się fotografiom.

Każda scena powtarzała poprzednią - z drobnymi wariacjami. Symbole na ciałach różniły się, ale układały się w sekwencję.

Łączyła punkty na tablicy, gdy usłyszała kroki.

- Znowu nie śpisz? - głos kapitana Rogersa był zachrypnięty. - Jesteś na kofeinie i papierosach już trzecią dobę.

- Dopóki on gdzieś chodzi, sen to luksus - odpowiedziała Lucy.

- Może to po prostu psychol. Książkowy satanista, internetowy prorok.

- Zbyt systematyczne - powiedziała. - On buduje strukturę. Próbuje coś przekazać tymi zabójstwami.

Rogers westchnął.

- Lucy... te sprawy... zaczynają przypominać twoją sprawę z Diego.

Odwróciła się gwałtownie.

- Nie porównuj tego. Diego był tylko rzeźnikiem. Ten - jest architektem. On wszystko zbyt dobrze zna. Wszystkie zabójstwa są do siebie podobne.

- Powinnas zrobić przerwę, pozwolić myślom się ułożyć.

Rogers spojrział jeszcze raz na zbyt zajęta Lucy, ciężko westchnął i wyszedł. Lucy upewniła się, że szef opuścił pomieszczenie i wróciła do rozmyślań o morderstwie.

* * *

Nocą deszcz się wzmógł. Zegar pokazywał prawie północ.

Lucy siedziała w domu, w ciemności, przed włączonym ekranem. Stare zdjęcia z miejsca zbrodni, powiększone fragmenty: kręgi, linie, litery.

Symbole tworzyły coś na kształt mapy.

Ale mapy czego? To był znak... ale jaki, do diabła, znak?

Na sekundę światło zamigotało.

Ekran zrobił się czarny.

Potem - błysk.

Na monitorze pojawił się nowy obraz: nie z bazy danych, nie z plików. Po prostu - wyskoczył.

Rozmazane ujęcie: jej własna twarz, sfotografowana przez okno mieszkania.

Pod zdjęciem - znana już jej fraza:

„Ego sum lux in tenebris”.

Odwróciła się w stronę okna.
Deszcz. Ulica pusta. Ani żywej duszy.
Tylko światła reflektorów, które mignęły gdzieś w oddali.

* * *

Rano w jej biurze pachniało mokrym papierem.
Na biurku – koperta bez adresu zwrotnego.
W środku – fotografia nowego ciała.
Ciała jeszcze nie znaleziono. Ale zdjęcie już było.
Lucy spojrzała na datę na odwrocie – jutrzejsza.
Coś ścisnęło ją w piersi.
To nie była już gra.
Sprawdziła, – nikt nie wchodził w nocy na komisariat.
Kamery przy wejściu nic nie nagrały.
Zdjęcie leżało na biurku, jakby pojawiło się znikąd.

* * *

Miejsce wskazane na odwrocie fotografii – opuszczony motel przy starej trasie.

Lucy pojechała sama. Coś przyciągało ją tam jak magnes.
Zmierzch rozlewał się jak gęsty olej.
Motel wyglądał, jakby został pożarty przez las: wybite okna,
ciemność za drzwiami.

W pokoju numer siedzi na podłodze – ślady.
Ktoś tu był. Ślady świeże. Niedawno.
Łazienka. Lustro pęknięte.
Na ścianie – krwią wypisana ta sama łacińska sentencja, a poniżej – dopisek po angielsku:

„You are next, Shepherd”.

– Co... Shepherd?
Jej przezwisko z akademii. Nikt poza kolegami go nie używał.
Do wieczora wszystko się wymieszało – miasto, dźwięk syren,
neony, dym papierosowy.

Lucy wracała do domu, czując, jak niewidzialna sieć się zaciska.
Przypomniała sobie rozmowy z psychologiem z wydziału –

mówił, że ludzie zajmujący się sprawami kultów zaczynają widzieć symbole wszędzie.

Ale to było realne.

Widziała powiązania.

Każde zabójstwo pokrywało się datą z zaginięciem osoby ze starej sprawy sprzed dziesięciu lat.

Sprawy Diego.

Wtedy w aktach pojawiał się kaznodzieja, który założył podziemną sektę – i zniknął bez śladu.

I nazywał się, oczywiście, nie Diego.

Jego prawdziwe imię brzmiało: **Egry Ledvigo**.

* * *

Lucy udała się do archiwum.

Stare akta pachniały pleśnią i upływem czasu.

W jednym z protokołów – odręczna notatka:

„Ledvigo głosił o jedności światła i mroku. Wierzył, że dusza może zostać przeniesiona przez krew”.

Spojrzała na zdjęcie ostatniego zabójstwa.

Na czole ofiary był znak przypominający skrzyżowane promienie światła.

W środku wszystko zamarło.

To nie był zwykły naśladowca.

Ktoś kontynuował jego rytuał.

* * *

Później Lucy wróciła do domu.

Na podłodze leżała koperta bez znaczka.

W środku była kasetka magnetofonowa.

Włożyła ją do starego odtwarzacza.

Pierwsze sekundy wypełniał szum, potem pojawił się głos – męski, przytłumiony, jak z tunelu:

– Myślisz, że szukasz mordercy, Lucy. Ale tak naprawdę szukasz siebie. Światło w ciemności to nie ten, kto świeci. To ten, kto się spala.

Pauza.

Potem oddech – powolny, równy. I ciche:
– Spotkamy się tam, gdzie droga się kończy. Do zobaczenia,
Shepherd.

* * *

Wiedziała, gdzie to jest.
Stara kaplica przy drodze.
Ledvigo prowadził tam swoje zgromadzenia dziesięć lat temu.
Miejsce przekłete – spłonęło w pożarze, został tylko fundament
i krzyż, osmalony, przechylony.
Lucy wzięła latarkę, pistolet i pojechała.
Noc była gęsta jak dym.
Droga prowadziła donikąd.
Gdy dotarła na miejsce, deszcz ustał, jakby ktoś znów pstryknął
palcami.
Powietrze stało w bezruchu.
Wokół panowała grobowa cisza.
Na pogorzelsku kaplicy płonęły światełka świec.
Ktoś już tu był.
Lucy podniosła pistolet.
– Ledvigo! – krzyknęła.
Nie było odpowiedzi.
Tylko szelest.
Zrobiła krok naprzód.
Krąg świec. Na ziemi – figura z soli i krwi.
W środku – księga. Stara, osmalona.
Lucy ostrożnie się pochyliła.
Na pierwszej stronie – jej imię.
Dokładnie pośrodku.
W tej samej chwili za plecami rozległ się krok.
Odwróciła się i zobaczyła cień.
Wysoki mężczyzna ukrywał twarz w kapturze.
– Za późno, Lucy. – Głos był cichy, ale znajomy. – Wszystko już
się zaczęło.
– Podnieś ręce i uklęknij – powiedziała, celując do zbliżającej
się postaci.

- Nawet nie wyobrażasz sobie... wszystko, co widziałas, to dopiero początek.

- Początek czego?! - zapytała z przerażeniem Lucy.

- Powrotu światła.

Zdjął kaptur.

To był Rogers.

Świat na sekundę zawirował.

- Ty... - wyszeptała Lucy. - To wszystko ty?

- Nie ja. Jestem tylko przewodnikiem.

Zrobił krok w stronę kręgu.

- Ledvigo nie umarł, Lucy. On przeszedł dalej. A ja jestem tylko głosem, który go niesie.

Wycelowała.

- Jeszcze krok - i strzelam.

- Strzelaj - uśmiechnął się. - Przecież wiesz, że w każdym z nas jest cząstka ciemności.

Pociągnęła za spust.

Strzał rozerwał ciszę. Rogers upadł, świece zgasły.

Lucy stała, czując drżenie rąk.

Ale w tej samej chwili coś poruszyło się w powietrzu.

Jakby ciemność ożyła.

Płomień jednej świecy zapłonął ponownie, a światło padło na księgę.

Na stronie pojawiły się nowe słowa, jakby pisane niewidzialną ręką:

„Ego sum lux in tenebris. Et lux facta est caro”.

Ja jestem światłem w ciemności. I światło stało się ciałem.

Lucy poczuła ciężar w piersi.

Krew spłynęła jej z nosa.

Rogers leżał martwy, ale jego oczy były otwarte.

W źrenicach odbijał się ten sam znak, który miały ofiary.

* * *

Oświecie policja znalazła ją siedzącą przy zwęglonym fundamencie.

Pistolet w ręku, obok ciało kapitana.

Nie mówiła nic. Tylko szeptała:

- On wrócił.

Sprawę uznano za obronę konieczną i zamknięto.

Psycholodzy pisali w raportach: „psychoza pourazowa”.

Ale na zdjęciach z miejsca zdarzenia, w tle, za plecami Lucy, widniał cień – wydłużony, nieludzki.

I nikt nie potrafił wyjaśnić, skąd się wziął. Słońce jeszcze nie wzeszło.

* * *

Miesiąc później Lucy odeszła z pracy.

Wyjechała z miasta, kupiła dom nad morzem.

Nikomu nie odpowiadała.

Ale każdego ranka znajdowała pod drzwiami skrawek papieru z jedną frazą:

„Ego sum lux in tenebris”.

Ostatni raz sąsiad widział ją, jak szła po plaży o czwartej nad ranem – w stronę wody.

Później nie znaleziono żadnych śladów.

Tylko jej latarkę, tkwiącą w mokrym piasku.

A obok, na piasku, krąg ułożony z kamieni.

W środku – pustka.

Opowiadania nauczycieli

Dorota Michalska-Hejduk

Plener fotograficzny

Opowiadanie inspirowane faktami.

Pamięci Jerzego P. – nieznanego z Karolinowa

Tak blisko Warszawy! Właściwie tuż przy zachodnich granicach miasta! Rozpościera się obszar pełen atrakcji turystycznych, walorów przyrodniczych i... mrocznych tajemnic – Puszcza Kampinoska.

Jurek obudził się o szóstej rano. Zegar biologiczny działał nieubłaganie. Była sobota i na dodatek od ponad miesiąca był na zwolnieniu. Mógł pospać dłużej. Ale przyzwyczajenie robiło swoje. Od ponad dziesięciu lat chodził codziennie na siódmą do pracy do cegielni w Plecewicach. Był tam elektrykiem, dbał o bezpieczeństwo maszyn, a więc i o kolegów. Lubił swoją pracę. Ale po tym jak poraził go prąd w nieserwisowanym urządzeniu, zaczął mieć problemy. Siedział całymi dniami w domu i to najwyraźniej irytowało jego partnerkę Renię, u której mieszkał. Coraz częściej

się kłócili. A i ten Roman z zakładu jakoś tak przychodził do nich często i krzywo na Jerzego patrzył. To Renia i Roman namówili go, żeby wytoczył proces zakładowi o odszkodowanie za wypadek. Nie chciał tego robić, ale uległ namowom.

- No cóż, jeszcze pogadam z prezesem w marcu, ale w sumie trochę grosza by się przydało - rozmyślał.

Wstał cicho, żeby nie obudzić partnerki i poszedł przygotować śniadanie.

- Może dziś naprawię w końcu pralkę, już tyle czasu się ociągałem, może o pralkę Renia taka poirytowana na mnie - myślał. - Po południu wyciągnę ją na spacer, a jutro może w końcu pojedzie ze mną do mamy na niedzielny obiad? - zaplanował w duchu weekend.

* * *

Tego dnia matka pana Jerzego - Zofia - obudziła się pełna złych myśli. Cóż, każdy ma taki dzień. Była połowa lutego, pogoda nie zachęcała do wyjścia na zewnątrz - zimno, ciemno i ponuro.

- No ale nadszedł weekend, więc pewnie chociaż Jureczek na obiad w niedzielę wpadnie - pomyślała.

Zabrała się do sprzątania, pieczenia ciasta i gotowania obiadu. Dzień mimo ponurego poranka minął szybko.

- Tylko czemu Jureczek nie dzwoni? - mówiła sama do siebie - Zawsze dzwoni wieczorem w sobotę i mówi, czy ma być rosółek, czy ogórkowa na niedzielny obiad...

Ale pan Jerzy nie zadzwonił tej soboty ani w niedzielę. Zaniepokojona pani Zofia sama zaczęła wydzwaniać do syna, ale jego telefon milczał. W poniedziałek postanowiła wybrać się do mieszkania, w którym syn zamieszkiwał ze swoją partnerką, chociaż wiedziała, że nie jest tam mile widziana. Ale niepokój wziął górę nad ustalonymi z synem zasadami. Drzwi mieszkania zastała zamknięte. Mimo pukania nikt nie otwierał. Nieśmiało pukała do kolejnych sąsiadów. Za trzecim razem jedne z drzwi się uchyliły.

- Czego tam? - zapytał zrzedliwy głos starszej kobiety.

- Przepraszam, bardzo przepraszam - wyszeptała cichutko pani Zofia - jestem matką Jureczka, Jerzego znaczy... Pani sąsiada. Nie

wie pani, czy jest, czy był wczoraj w domu?

- Od soboty go nie widziałam! Jakaś libacja u nich była po południu, jakaś awantura, a potem wyszli. No i tyle. Więcej go nie widziałam. A tej jego... też nie. - Zamknęła z trzaskiem drzwi.

Po kilku dniach od tej rozmowy pani Zofia zgłosiła na policji zaginięcie syna.

* * *

- Wezwijcie Huberta, kolejny zaginiony do poszukiwania specjalnie dla niego! Będzie miał okazję znowu powęszyć w swojej ulubionej Puszczy - powiedział z przekąsem Naczelnik Wydziału Kryminalnego w Sochaczewie.

Hubert zjawił się niezwłocznie. Był młody, pełen zapału do pracy, uwielbiał zagadki i kochał Puszcę Kampinoską.

- Słucham, panie komendancie?

- Jest zgłoszenie o zaginięciu mężczyzny. Jerzy P., lat 40, średniego zrostu, zresztą masz tu rysopis. Matka dzisiaj zgłosiła zaginięcie. Twój ulubiony teren - Tułowice. Przedpole Puszczy Kampinoskiej.

- Ulubiony jak ulubiony, a zaginięcie mężczyzny w tym wieku? Cóż, poszedł w tango, jak wytrzeźwieje, to się znajdzie.

- Nie ma z nim kontaktu od szesnastego lutego. To już dwa tygodnie. Poszukajcie!

- Rozkaz, panie komendancie.

Hubert od razu wsiadł w samochód i pojechał do matki Jerzego do Tułowic. Dowiedziawszy się o wszelkich znanych jej okolicznościach, ruszył do mieszkania w blokach na przedmieściach Sochaczewa koło cegielni w Plecewicach, w którym Jerzy mieszkał ze swoją partnerką. Nie zastał nikogo. Zapukał do sąsiednich drzwi.

- Czego tam? - zapytał znów zrzędlawy głos starszej kobiety.

- Hubert P., Komenda Powiatowa Policji w Sochaczewie, chciałem porozmawiać o panu Jerzym, pani sąsiedzie.

- Od jakichś dwóch tygodni go nie widziałam! Jakaś libacja u nich była po południu w sobotę, jakaś awantura, a potem wszyscy wyszli - powiedziała zupełnie już innym głosem niż

poprzednio.

- Oni wszyscy wyszli, czyli kto?

- No pan Jerzy, z tą swoją, co u niej mieszkał. I jeszcze był z nimi taki drugi facet, co to do niej przychodził, jak Jurka nie było... No wie pan... Ja to się nie lubię mieszać... No i tyle.

- Dziękuję. A ten drugi mężczyzna, to gdzie mieszka? Wie pani, kto to jest?

- Bodaj tu w Plecewicach, w domkach, ale nie wiem dokładnie.

- Dziękuję, bardzo mi pani pomogła. Do widzenia.

Ruszył do Plecewic. Ustalenie kto, z kim i gdzie w takiej społeczności nie było trudne. Szybko znalazł partnerkę Jerzego i jej obecnego towarzysza.

Usiedli w trójkę przy kuchennym stole, tradycyjnie przykrytym ceratą. Na stole leżał telefon komórkowy, męski zegarek i kilka kubków po kawie. Hubert nie chciał kawy, poprosił o herbatę. Zawsze coś pił w takich okolicznościach, żeby atmosfera była bardziej swojska.

- Nic nie wiemy o Jerzym. Pokłóciliśmy się tego dnia, no wie pan, trochę wypiliśmy, Jerzy się zdenerwował na mnie i Romana. Wyszliśmy razem z domu i poszliśmy się przejść, żeby ochłonać. Ale on się odłączył i poszedł sam w stronę Puszczy. Śnieżycą się zaczęła. Wołaliśmy za nim, ale szedł przed siebie. No to my zawróciliśmy i wróciliśmy tutaj do Romana domu. Ja już tam do siebie od tego czasu nie zaglądałam.

- Nie szukaliście go potem?

- E, no, pewnie sam się w końcu znajdzie.

Roman spojrzął na zegarek na rękę i pospiesznie wstał.

- Na mnie czas, do pracy się spieszę.

Wyszedł.

- Gdzie pracuje pan Roman?

- Tu w cegielni, tak jak wszyscy. Jest palaczem.

- A Jerzy?

- No też tutaj, jest elektrykiem. Ale teraz jest chwilowo na zwolnieniu po wypadku, więc nie chodzi do roboty.

- Co się stało?

- Miał wypadek, jak naprawiał maszynę. Prąd go poraził. Już

jest dość dobrze, ale jeszcze ma zwolnienie. No i z prezesem się procesuje o odszkodowanie.

- A pani? Też w cegielni pracuje?

- No jak się zdarzy, jak więcej pakowania mają.

- Pan Roman ma dwa zegarki? - zapytał, nagle zmieniając temat.

- A co w tym dziwnego? Co to? Nie wolno mieć dwóch zegarków?

- Pewnie, że wolno - pomyślał. Sam miał słabość do zegarków i miał ich kilkanaście.

- Mogę zobaczyć? - wskazał ten leżący na stole.

- Proszę. - Wzruszyła ramionami.

Zwykły męski zegarek, nic nadzwyczajnego, trochę poobijana bransoletka, porysowane szkiełko.

- A ten u Romana na ręku? Jaki to zegarek?

- Ja to się tam nie znam. Kupił sobie ostatnio na targu.

Gdy za Hubertem zamknęły się drzwi, kobieta pospiesznie poszła do sypialni. Otworzyła górną szufladę komody i szybkim ruchem zgarnęła do niej leżący na komodzie srebrny medalik z łańcuszkiem.

Hubert wrócił na komendę. Potrzebował zebrać myśli. Trochę go dziwiła obojętność „byłej” partnerki Jerzego na zniknięcie partnera, ale widział już wiele w swojej niedługiej karierze powiatowego policjanta.

Dla spokoju sumienia pojechał do matki Jerzego wypytać o zegarek. Tak, doskonale pamiętała jego zegarek, bo dostał go od niej na czterdzieste urodziny. Wykosztowała się. To nie był zegarek leżący na stole w Plecewicach. Następnego dnia wrócił do Romana. Przepraszając, poprosił o pokazanie drugiego zegarka - tandeta z rynku, warta nie więcej niż sto złotych, ale z tak zwanymi „bajerami”. Mógł wymienić na rynku zegarek pana Jerzego, ale to trop nie do udowodnienia. Na rynku handlarze pojawiają się i znikają.

Po tej wizycie pojechał do cegielni. Wcześniej umówił się z prezesem. Prezes przyjął go w skromnym gabinecie na piętrze budynku biurowego.

- Tak, pracuje tu Jerzy. Teraz jest na chorobowym, po wypadku.

- A co to był za wypadek?

- Panie komisarzu! Jak Boga kocham, to dobry pracownik! Wie pan, jak jest. No ja odpowiadam za zakład. Za wszystkich pracowników, za ich zatrudnienie, pensje. No jak mi zarzucą zaniebdanie maszyny i wypadek z tego powodu, to pół zakładu będę musiał pozwalniać! Jurek to dobry chłopak, pracownik dobry, ale muszę się z nim po dobroci dogadać, a nie od razu proces o odszkodowanie.

- Spokojnie, nie o to pytam. Wie pan, że zaginął?

- Jak zaginął?

- No nie ma go od dwóch tygodni. Matka go szuka. Partnerka jakby mniej...

- Eee, no tak z nią jest - bąknął prezes, a po chwili dodał szybko

- Ale panie komendancie! Jak Boga kocham! Nie mam z tym nic wspólnego! Że ten proces mi wytoczył? Ale to nie powód, żeby człowieka... no wie pan! Jak Boga kocham!

Hubert pozostawił prezesa kochającego Boga w gabinecie i poszedł popytać wśród pracowników. Nikt nie wiedział o zniknięciu Jerzego. No cóż, nie chodził do pracy, siedział w domu u partnerki albo u matki. Ale koledzy dobrze o nim mówili. Że koleżeński, że zawsze pomaga, że pogodny taki. Gorzej Roman. Przystojny, dobrze zbudowany, ale nieufny jakiś. Mimo że swój, z Plecewic, to nie bardzo z kolegami trzyma. Dla Huberta ta wizyta oznaczała jedno. Zakład, konflikt z prezesem to nie jest trop, którym warto podążać. O prezesie wszyscy mówili dobrze, że dba o zakład i ludzi i że bardzo się przejął wypadkiem Jurka, ale nie chciał procesu. Nawet ponoć gotów był sam wyłożyć pieniądze, żeby tylko Jerzy zostawił zakład w spokoju. No ale rozmawiać o tym mieli dopiero w marcu.

Hubert wrócił więc do rozmyślań o zaginionym. Dokąd mógł pójść Jerzy w taką nocną śnieżycę? Może poszedł zdenerwowany kłótnią i odurzony alkoholem po prostu przed siebie i zgubił się? W Puszczy nietrudno stracić orientację w takiej pogodzie. Zgubił się i zamarzył? To najbardziej prawdopodobne. Banalna historia.

Trzeba zacząć przeszukiwanie terenu.

W Stacji Terenowej Uniwersytetu Łódzkiego najwięcej gwaru i zamieszania jest latem w czasie praktyk studenckich. Ale i w pod koniec marca bywa tłumnie podczas pleneru fotograficznego. Zjeżdżają się nie tylko przyrodnicy fotografujący naturę Puszczy Kampinoskiej, ale też amatorzy zdjęć przepelnionych klimatycznymi i tajemniczymi obrazami dawnych puszczańskich osad. Każdy liczy na zdjęcie życia. Może łoś łopatacz! Może uda się „ustrzelić” rysia? No albo przynajmniej ciekawe zdjęcie jakiegoś polującego bielika. Nic więc dziwnego, że w całej ekipie zawrzało, gdy Rysiek przybiegł z wiadomością:

– Chodźcie szybko, łapcie sprzęt, całe stado drapieżników krąży nad Łąkami Karolinowskimi! Jest i bielik!

– Ciekawe do jakiej padliny przyleciały?

– Bielik? To jakieś duże truchło musi być?

– Stawiam na łośia! Kto się zakłada?

– Ja stawiam trzy browary, że to jednak jelen!

W stacji zawrzało, zakotłowało się i kilkanaście osób, z aparatami zaopatrzonymi w długie teleobiektywy, ubranych w zielone terenowe stroje, jeszcze ciepłe zimowe kurtki, bo śnieg dopiero co stopniał, wybiegło ze stacji i ruszyło na północ w stronę Karolinowa. Ze wsi, która liczyła niegdyś prawie dwustu mieszkańców, teraz została tylko nazwa łąk, ale stali bywalcy Bromierzyka i Puszczy często używają nazw, które z map pomалу znikają.

Teraz już wszyscy widzieli stado drapieżnych ptaków krążących nad łąkami. Były tam kruki, para myszołowów, ale przede wszystkim krążył dostojnie piękny bielik z charakterystycznym deltoidalnym ogonem. W grupie fotografów nie ustawały dyskusje, jakie to padłe zwierzę przyciągnęło tyle ptactwa. Co chwila strzelały migawki aparatów, by uwiecznić to nieczęste zjawisko. Rysiek pobiegł przodem. To on przyniósł wiadomość i to on miał niepisane prawo, by pierwszy odkryć przyczynę zlotu drapieżników. Już tylko kilkanaście metrów!

Nagle stanął.

Już widział...

Przegrał zakład.
Wszyscy przegrali...

W miejscu, gdzie fotografowie znaleźli pana Jerzego stoi dziś krzyż. Napis zamazuje się powoli, ale można przeczytać:

„TU!!
ZOSTAŁ NIEWINNIE ZAMORDOWANY
JERZY PA...L LAT 40.
dnia 16 lutego 2002 roku wieczorem
Ograbiony z odzieży wierzchniej, pieniędzy
zegarka, telefonu komórkowego, medalika
srebrnego z łańcuszkiem. Ci co się
przyczynili, oraz mordercy nie spotkała
zasłużona kara bo taka jest ludzka
sprawiedliwość. Oby Pan Bóg
osądził ich sprawiedliwie”.

*Dziękuję moim dzieciom: Jędrkowi, Gosi i Krzyśkowi za konstruk-
tywne uwagi.*

Joanna Kaźmierczak

Gniew

Urodził się nad morzem. I pewnie dlatego od dzieciństwa kochał góry. Gdy więc dowiedział się, że na komendzie policji w Zakopanem pojawił się wakat, natychmiast złożył podanie o przeniesienie. I tak mieszkał tu od czterech lat. Zdążył poznać tutejsze zwyczaje, ludzi i miasto. Najbardziej lubił je właśnie w marcu. Zima już się kończyła, a wiosna jeszcze nie nadeszła. Zakopane, po którym leniwie snuli się nieliczni turyści, zapadało wtedy w chwilowy letarg. Dziś było inaczej. Od świtu nad górami szalał halny. Łamał drzewa, wybijał szyby, zrywał dachy i mieszał ludziom w głowach. Otwierając drzwi radiowozu, uniósł głowę i spojrzał w niebo. Pomimo zapadającego zmroku doskonale widział zasnuwające niebo ciemne chmury. Nic nie zapowiadało zmiany pogody. Ruszając, każdą komórką ciała czuł, że dziś wydarzy się coś złego.



Wiatr wściekle uderzał o szyby domu opieki Zielony Zakątek. O tej porze większość pensjonariuszy zgromadziła się w sali re-

kreacyjnej nazywanej przez wszystkich świetlicą.

- Krzywda za krzywdę, krew za krew. To, co zabrane w dwójnasób do ciebie wróci. Śmierć przyjdzie po kamienne serce - wysoki, czysty głos wybił się ponad szmer rozmów.

Wszystkie głowy obróciły się w stronę siedzącej na wózku inwalidzkim kobiety. Jej okolona jasnymi włosami twarz była spokojna, niemal anielska. Niewidzące oczy zdawały się śledzić niewidoczne dla innych obrazy. Stojąca przy oknie korpulentna staruszka wyjęła różaniec i zaczęła modlić się bezgłośnie. Młoda wolontariuszka podeszła do niewidomej kobiety i oparła jej dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, pani Heleno, to tylko wiatr...



Wysoki mężczyzna usiadł ciężko na łóżku w pokoju pensjonatu Halka. Miał na sobie idealnie skrojoną marynarkę, markowe dżinsy i koszulkę polo. Zakrył twarz dłońmi o pięknych, długich palcach. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

„Czy to moja wina? Czy to moja wina, że pacjenci wciąż obdarowują mnie alkoholem? Czy to moja wina, że Adela, moja ukochana żona, dla której co dzień haruję jak wół, przeskakując kolejne stopnie kariery, postanowiła zabić nudę w ramionach młodego architekta ogrodów? Czy to moja wina, że na nocnych dyżurach jestem sam? Tak, wypilem trzy, może cztery szklaneczki whisky i stanąłem za stołem operacyjnym! Popelnilem błąd! Mój pacjent do końca życia będzie kaleką, ale na miłość boską, będzie żył!”

Rankiem wszedł do pierwszego autobusu, który wyjeżdżał z Krakowa i trafił tu. Chciał uciec od szpitala, Adeli, odpowiedzialności. „Zapomnieć, choć na chwilę...”

Podszedł do okna. Wiatr toczył po pustej ulicy zielony kosz na śmieci, jakby to była dziecinna piłeczka. Po drugiej stronie dostrzegł migający neon - Bistro Harnaś. Chwycił płaszcz i zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju.



Stała przed oknem, uważnie śledząc chodnik przed domem. Wiatr przyginał drzewa do ziemi. Jej usta drżały.

„Boże, co ja sobie myślałam? Jak mogłam być taka głupia? On już wie. Kiedy wróci... Tym razem mnie zabije”.

Gdy powiedziała matce, że chce wyjść za mąż za Romka, ta odrzekła tylko: „Córko, nie będziesz miała z nim życia”. Nie uwierzyła. Z początku było dobrze. Bardzo dobrze. Urodził się Jaś, a później Basia. I wtedy stracił pracę i zaczął pić. Z początku wracał do domu i zasypiał. Potem ją bił. Co raz mocniej i częściej. Przez jakiś czas rano ją przepraszał. Potem już nie. Jego siostra usprawiedliwiała go: „Každy chłop tak ma, przecież dzieci nie krzywdzi” – mówiła. Wczoraj było inaczej. Nigdy dotąd nie był tak zacięty i okrutny. Gdy kopał ją, skuloną na podłodze, była pewna, że zginie. Rano złożyła doniesienie na policję. Pierwszy raz w życiu. Odwróciła się i spojrzała w głąb pokoju. Janek grał z młodszą siostrą w chińczyka. Tuż obok stołu leżały spakowany plecak i dwie kurtki. Chłopiec podniósł wzrok. Gdy ich spojrzenia spotkały się, w oczach syna wyczytała nieme pytanie. Serce przeżył jej ból. Przecząco pokręciła głową.



Młody, szczupły chłopak w czerwonej, pikowanej kurtce szedł niemal pustą ulicą. Wiatr stale zrywał mu z głowy kaptur, odsłaniając łysą czaszkę.

„Jak długo jeszcze? Co z tego, że od roku jestem czysty jak łąza? Że przestrzegam wszystkich zasad z listy, którą dano mi, gdy opuszczałem ośrodek odwykowy? Nikt nie chce dać mi szansy. Powierzyć choćby najprostszej, najslabiej płatnej pracy. Jak długo jeszcze będę odbijał się od drzwi?!”.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegł ruch. Właściciel baru Czarci Ruszt wyszedł opuścić ciężką blaszaną żaluzję, aby osłonić szybę przed uderzeniami wiatru.

„Wczoraj pytałem go o pracę. Powiedział, że ogłoszenie już nieaktualne, a godzinę później zatrudnił jakąś młodą pindę”.

Chłopak zacisnął pięści. Wahał się tylko chwilę, zanim szybkim krokiem ruszył w kierunku baru.



- Powiedziała, że mięso jest surowe, a ziemniaki to rozgotowana breja - Zośka postawiła talerz przed Michałem.

- Kurwa mać! Pieprzona Magda Gessler! - Maciek wbił tasak w deskę do krojenia. - Który to już raz?!

- Daj spokój - Zośka poklepała go po plecach - zaproponowałam jej pstrąga. Wczoraj twierdziła, że jest zjadliwy.

Michał podszedł do drzwi oddzielających kuchnię od sali restauracyjnej i przez niewielkie okienko spojrzął na szczupłą kobietę o pięknych blond lokach. Kiedyś miał plany, marzenia. Chciał studiować hotelarstwo w Krakowie. Ale... ojciec zmarł nagle na wylew, a młodszy brat ruszył w narkotyczne tango. Nie mógł zostawić matki samej. Była też kwestia pieniędzy. Został więc. Zatrudnił się w hotelowej kuchni.

„I po co to wszystko? Żeby tacy jak ona traktowali mnie jak śmiecia?! Dlaczego los tak mnie traktuje?! Za pieniądze ze sprzedaży jej ciuchów moglibyśmy z matką spokojnie żyć przez pół roku!”.

- Maciek! - głos Zośki dobiegał z głębi kuchni.

- Idę - odpowiedział i sięgnął po tasak.



Zamknęła drzwi hotelowego pokoju na klucz.

„Czy naprawdę muszę być taka wredna? W czym oni zawinili? A może każdy z nas jest czemuś winny?”.

Jednym ruchem zrzuciła z siebie kaszmirowy sweter i stanęła przed lustrem. Powiodła dłońmi po piersiach, a potem po długich, jasnych lokach. Pomimo jej 45 lat wciąż była piękna. Jej uroda nie

była wynikiem zabiegów kosmetycznych czy wysiłków chirurga plastycznego. Zapracowała na nią sama – jak na wszystko w życiu. Sport, dieta, zero używek, sen. Po dwudziestu pięciu latach małżeństwa Karol patrzył na nią z tym samym błyskiem w oku, który dostrzegła podczas ich pierwszego spotkania.

„Teraz wszystko się zmieni” – pomyślała, a po jej twarzy popłynęła łza. Wczoraj lekarz z pokrzepiającym uśmiechem na twarzy powiedział jej: „Dziś rak to nie wyrok. Pierś trzeba amputować, ale od razu wstawimy implant. Potem tylko chemia i naświetlania i za rok, może półtora będzie pani jak nowa”.

„Stracę pierś, włosy... Karol... jak będzie na mnie patrzył? Czy będzie? Jak mu powiedzieć? Teraz wszystko się zmieni... dlaczego właśnie ja?”.

Uciekła z Warszawy. Chciała pobyć sama. Pomyśleć, co dalej. Czuła się jak przed laty, gdy z niewielką walizką na zawsze opuszczała zaniedbane mieszkanie mieszczące się w jednej z oficyn łódzkich kamienic. Ona, bękart, wytykane palcami nieślubne dziecko wiecznie nieobecnej, zapracowanej sklepowej. Miała wtedy tylko pragnienie walki i zaciętość, które napędzały ją do działania. Za tydzień miała zabieg. Musiała poinformować Karola. Sięgnęła po telefon komórkowy. Wybrała numer i ... odłożyła telefon na stolik. Raz jeszcze spojrzała w lustro. Wiedziała, że od wczoraj jej życie jest inne. Wiedziała też, że mimo wszystko bardzo chce żyć.



Młody ksiądz oparł głowę o chłodne oparcie kłęcznika.

„Zabierz mnie stąd, Boże... proszę... zabierz mnie...” – szeptał.

Do seminarium zaprowadziła go głęboka wiara i prawdziwe powołanie. Gdy dowiedział się, że jego pierwszą parafią będzie ta w Zakopanem szalał z radości. „Górale to ludzie religijni, wierni zasadom moralnym. To nie Warszawa czy Poznań z ich marszami równości i ideologią LGBT” – myślał. Tyle pragnął tu działać. I wtedy, podczas mszy, zobaczył ją. Jej czarny warkocz, brązowe

oczy w kształcie migdałów, jasną cerę. Nie mógł o niej zapomnieć. Gdy odkrył, że należy do grupy kobiet dbających o kościół, pojawił się w świątyni pod byle pretekstem, gdy ona tam była.

Z czasem zaczęli rozmawiać. Był szczęśliwy. Aż pewnego dnia dostrzegł, że i on nie jest jej obojętny. Przestraszył się wtedy i zaczął jej unikać. Dziś rano przyszła do zakrystii. „Chcę dać na mszę za dziadka” – powiedziała. W jej oczach zobaczył żal, smutek i... gniew.

„Błagam, zabierz mnie stąd” – wyszeptał raz jeszcze.

Potem przeżegnał się i wyszedł z kościoła. Wiatr uderzył w niego z całą swoją mocą, wydymając sutannę niczym czarny żagiel pirackiego okrętu. Ksiądz skulił się i ruszył przed siebie. Nagle pośród wszechobecnego szumu drzew usłyszał inny, metaliczny dźwięk. Nieoczekiwanie uniósł się w powietrze. Płynąc ponad ziemią, usłyszał krzyk: „Matko boska, jakaś kobieta potrafiła księdza!”. Jednak zanim dotarł do niego sens tych słów, spowiła go opiekuńcza ciemność.



Aspirant Konrad Malicki siedział za biurkiem, czytając treść złożonego rano doniesienia. Po chwili skinieniem ręki przywołał stojącego pod ścianą mężczyznę o bujnych, dawno niestrzyżonych włosach.

- Imię, nazwisko, adres zamieszkania – zapytał, gdy tamten zajął miejsce naprzeciw.

- Jestem wesoły Romek, mam na przedmieściu domek – zarechotał mężczyzna, roztaczając wokół woń przetrawionego alkoholu.

- A w tym domku dwoje dzieci i żonę, którą regularnie katujesz – odparł Konrad spokojnie.

Uśmiech mężczyzny zniknął. Jego miejsce zajęły zdziwienie i wściekłość.

- Wiesz co, Romek, dziś zostaniesz z nami, zapewnimy ci nocleg i towarzystwo godne twojego charakteru i pięści. Kazek odprowadź naszego gościa na dołek – dodał Malicki.

Potem spojrzął na rząd krzeseł ustawionych pod ścianą komisariatu. Wśród stałych, dobrze mu znanych bywalców tego miejsca, dostrzegł nowe twarze. Kobiętę z rozmazanym przez łzy makijażem, przystojnego, kompletnie pijanego mężczyznę w eleganckim ubraniu i młodego chłopaka w czerwonej kurtce, który opierał na kolanach zakrwawione ręce. „Na szczęście to już koniec” – pomyślał.

Nie wiedział wtedy, że choć sąd uniewinni zapłakaną kobietę, uznając śmierć księdza za nieszczęśliwy wypadek, ta wiedziona poczuciem winy, wpadnie w głęboką depresję i po roku powiesi się w szpitalnej łazience na sznurze od prysznica. Nie wiedział, że gdy Romek zwolniony z aresztu wróci do domu, wypiwszy wcześniej dwie lub trzy „małpki”, jego przerażona żona pchnie go dwadzieścia trzy razy nożem kuchennym w klatkę piersiową. Następnego dnia patolog podczas sekcji uzna dwanaście z zadanych mu ran za śmiertelne. Nie wiedział, że nim nadejdzie kolejny wieczór, chłopak w czerwonej kurtce odwiedzi kolegę, którego nie widział od ponad roku. Kupi od niego biały proszek, który wyśle go do krainy bez trosk, z której chłopak już nigdy nie powróci. Nie wiedział, że przystojny mężczyzna kilka minut po wejściu do pokoju w pensjonacie Halka wyskoczy z okna, łamiąc sobie obie ręce. Lekarze poskładają potrzaskane kości. Rehabilitant da z siebie wszystko. I tak po roku lekarz orzecznik wpisze w zaświadczeniu wydanym mężczyźnie „prawie samodzielny, niezdolny do pracy”. Nie wiedział, że tuż po południu młoda pokojówka wejdzie do hotelowego pokoju, aby wymienić ręczniki i odnajdzie w nim zwłoki złotowłosej kobiety, której ktoś w ataku szału odrąbał głowę tasakiem. Nie wiedział, że zbliża się moment, w którym on, aspirant Kordian Malicki, znienawidzi to miasto i zapragnie opuścić je na zawsze. Nie wiedział w końcu, że właśnie w tej chwili jedna z pensjonariuszek domu opieki Zielony Zakątek zasnęła spokojnym snem. Zrobiła wszystko, co mogła i co do niej należało. Ostrzegła ich. Teraz mogła odpocząć.

Opracowanie redakcyjne

Aleksandra Bajerska

Klaudia Chalczyńska-Cieślak

Opracowanie graficzne

Klaudia Chalczyńska-Cieślak



**STUDIUM
JĘZYKA POLSKIEGO
DLA CUDZOZIEMCÓW**
Uniwersytet Łódzki